

USA, zwłaszcza w jej północnej części, nad którą nadlatywałyby amerykańskie głowice nuklearne, ryzyko dla ludności cywilnej jest mniejsze. Zniszczenie ponadto atakującej głowicy zanim dotrze do celów bardziej zaludnionych, jest i tak opłacalne, nawet przy jakichś stratach własnych, niż nie posiadanie żadnej obrony antyrakietowej.

Jeśli to jest prawda, to Rosja jest **lepiej** od USA przygotowana do wojny nuklearnej, dzięki wysiłkom w tym kierunku b. ZSRR, który okres "zimnej wojny" *wykorzystał* potajemnie, gdyż porozumienie ABM tego zakazuje, dla stworzenia obrony antyrakietowej.

Koszty "zimnej wojny" wreszcie, w samych tylko USA, licząc w obecnych cenach, wyniosły ok. **8 bilionów** dolarów, co najmniej *5-krotnie* przewyższając poniesione przez nie koszty w czasie II wojny światowej.

Licząc koszty poniesione przez ZSRR oraz inne kraje, "zimna wojna" pochłonęła sumy astronomiczne. Gdyby ludzkość przeznaczyła je na inne cele, to z pewnością jej byt byłby lepszy od obecnego.

## Rozdział III:

### Zbrojny świat

#### 1. Nie dokończona "zimna wojna".

Narodziny "zimnej wojny" odbywały się na raty i również na raty zaczął następować jej koniec, nie mówiąc już o tym czy nastąpił on kiedykolwiek.

Z dwóch najczęściej wymienianych dat końca "zimnej wojny" - przypominając to jeszcze raz - jako pierwszą wymienia się upadek "muru berlińskiego" w nocy z 9 na 10 listopada 1989 r., podczas gdy drugą, trwający już otwarcie od 8 grudnia 1991 r. rozpad ZSRR, którego punkt kulminacyjny przypadł na wieczór 25 grudnia tegoż roku.

Koniec "zimnej wojny", czy to z listopada 1989 r. czy grudnia 1991 r., był tylko "politycznym końcem", gdyż z wojskowym, nie mniej ważnym, sprawa jest bardziej skomplikowana.

Układ Warszawski mianowicie, całymi latami uważany za przeciwwagę NATO, co prawda rozpadł się w 3-ch ratach, w "strukturze wojskowej" 25 lutego 1991 r., w "politycznej" 1 lipca, a już na dobre 23 grudnia 1992 r., kiedy to ostatni jego kraj członkowski, Rosja, ratyfikował odpowiednią decyzję, ale ten epizod był już bez większego znaczenia. Koniec Układu Warszawskiego bowiem, był co najwyżej *symbolicznym* dowodem na to, że skończyła się "zimna wojna", przynajmniej po jednej stronie jej dwóch uczestników (drugim było NATO). Symbolicznym dlatego, że sam Układ Warszawski był *symboliczną* organizacją, bez *żadnego* praktycznego znaczenia (najlepszym dowodem na to był *brak* w nim sowieckiego kontyngentu wojskowego).

Armia i Flota Radziecka natomiast, jak oficjalnie nazywały się siły zbrojne ZSRR, faktycznie *jedyny* przeciwnik NATO, pozostała **nietknięta** po jego rozpadzie, zmieniając tylko nazwę 30 grudnia 1991 r. na Zjednoczone Siły Zbrojne Wspólnoty Niepodległych Państw, na czele których stanął dotych-

czasowy minister obrony ZSRR. Dopiero w maju 1992 r. z ZSZ zaczęły wydzielać się narodowe armie, jako pierwsza rosyjskie siły zbrojne, główny spadkobierca sowieckich sił zbrojnych, a w broni nuklearnej z czasem jedyny (jeśli wyłączyć niejasną sprawę Ukrainy).

Co najważniejsze, pozostał ogromny potencjał nuklearny b. ZSRR, początkowo formalnie przejęty, obok Rosji, przez Ukrainę, Kazachstan i Białoruś, dopóki Rosja nie wzięła go całkowicie pod swoją kontrolę

Pozostał również potencjał nuklearny USA, a także dwóch innych krajów NATO, Francji i Anglii.

“Zimnej wojny” więc już niby nie było, ale potencjał nuklearny, najbardziej groźny jej aspekt, istniał sobie  **nadal** w najlepsze...

Gwoli ścisłości, potencjał ten był stopniowo redukowany, zarówno decyzjami jednostronnymi, szczególnie przez USA, jak też dwustronnymi, w wyniku porozumienia amerykańsko-sowieckiego START I z 31 lipca 1991 r. (porozumienie negocjowano ponad 9 lat, od 29 czerwca 1982 r.). Mimo to, ciągle był on ogromny, o wiele  **za duży** jak na “pozimnowojenny” okres, którego głównym osiągnięciem miało być  **zniknięcie** niebezpieczeństwa nagłego wybuchu III wojny światowej.

Niepokojąca pozostałością “zimnej wojny” było (i nadal jest) utrzymywanie sił strategicznych, nuklearnych, w stanie pogotowia bojowego.

“Zimna wojna” zatem, na odcinku wojskowym, a ściślej strategicznym, czyli nuklearnym, jego  **najważniejszej** części, ewidentnie  **trwała** jak za dawnych czasów.

Pierwszym objawem dobiegania jej rzekomego końca, na odcinku nuklearnym, gdyż na odcinku konwencjonalnym sprawy wyglądały o wiele lepiej, były wspomniane powyżej jednostronne redukcje dokonywane przez USA.

Od października 1990 r., USA - zgodnie z ich oświadczeniem - przerwały produkcję głowic nuklearnych, a ponieważ mają one określony żywot (10-15 lat), więc nie odnawiany arsenał powinien z czasem  **samoczynnie** ulegać redukcji (rzecz raczej wątpliwa w praktyce).

We wrześniu 1991 r., wyprzedzając zobowiązania wynikające ze START I, który po podpisaniu 31 lipca 1991 r. wszedł w życie dopiero 5 grudnia 1994 r., USA wycofały ze służby 10 nuklearnych łodzi podwodnych, na pokładzie których znajdowało się 1600 głowic strategicznych. W tym samym miesiącu USA wycofały z “dyżuru bojowego” 450 wielogłowicowych rakiet międzykontynentalnych “ziemia-ziemia” Minutman II, a w grudniu 1991 r. zaczęły wycofywać rakiety strategiczne z trzech baz, znajdujących się stacjami w Płd. Dakoty, Missouri i Montana. W tym samym czasie, USA “zdję-

ły” ponadto ze służby ponad 1,6 tys. ładunków nuklearnych, znajdujących się na pokładach bombowców dalekiego zasięgu.

Dzięki jednostronnym redukcjom strategicznego arsenału nuklearnego USA oraz dwustronnemu porozumieniu START I, ilość jego głowic i bomb poważnie spadła, z ok. 13 tys. w szczytowym okresie “zimnej wojny” do nieco ponad 6 tys. (według niektórych źródeł do 8,5 tys.) na dzień 1 lipca 1997 r.

Sprawa z b. ZSRR, a po jego rozpadzie z Rosją, jest już bardziej skomplikowana.

Według oświadczenia Moskwy, redukcja rosyjskiego strategicznego arsenału nuklearnego w omawianym okresie spadła z 10.779 głowic i bomb do 6.736 odpowiednio.

Czy tak istotnie było - można mieć wątpliwości. Szczególnie podejrzanie wygląda  **precyzyjna dokładność** ogłoszonych danych, której zweryfikowanie  **nie jest** możliwe.

Prawdą jest jednak, że  **znaczna** redukcja arsenału nuklearnego w świecie, głównie w przypadku obu supermocarstw, niewątpliwie jest faktem.

Na ile z kolei fakt ten miał wpływ na definitywne zakończenie “zimnej wojny”, jest już  **mniej** oczywiste.

Dopiero bowiem w 1994 r., najpierw USA i Rosja 14 stycznia, a 14 lutego Anglia i Rosja, podpisały porozumienia, w myśl których, z dniem 30 maja 1994 r., zobowiązały się do “detargeting”, używając angielskiego określenia, czyli wycelowania, wzajemnie dotąd wymierzonych w siebie i będących w stanie pogotowia bojowego rakiet, w ... morze. Stwierdzenie wiarygodności tego zobowiązania jest niemożliwe. Tym bardziej, że rosyjski prezydent Borys Jelcyn oświadczył 27 maja 1997 r. w Paryżu, w obecności przywódców krajów członkowskich NATO, że tuż przed odlotem z Moskwy rozkazał swoim wojskom strategicznym wycelować rakiety w morze, a nie w cele na liście do rażenia nuklearnego.

Jak to, po niemal 3-ch latach od wykonania podjętych zobowiązań, jeszcze nie były “zdjęte”?

“Detargeting” nie ma zresztą  **żadnego** praktycznego znaczenia przy złej woli stron, gdyż rakiety “zdjętą” z dotychczasowego celu można z powrotem na niego naprowadzić w ciągu niecałych 5 minut, zmieniając w jej systemie naprowadzania jedynie dyskietkę z nową misją bojową.

Bardziej godnym uwagi wydarzeniem, w dziedzinie  **faktycznego** końca “zimną wojną”, było natomiast wydanie przez prezydenta Clintona “PDD-60”.

PDD-60 (Presidential Directive Decision), Prezydencka Decyzja Dyrektywna Nr. 60, o tajnym charakterze, wydana w listopadzie 1997 r. (dzień jej



wydania nie jest znany), dotąd nie opublikowana, skomentowana w prasie amerykańskiej 7 grudnia tegoż roku na podstawie anonimowych źródeł, może być istotnie o *przełomowym* znaczeniu w procesie zamierania "zimnej wojny", zakładając jej wiarogodność.

PDD-60 **zastępuje** inną, wspomnianą w poprzednim rozdziale, również tajną PDD, wydaną przez prezydenta Reagana w październiku 1981 r. (dzień wydania i jej numer nie są publicznie znane).

Reaganowska PDD, w 1982 r. "przetłumaczona" przez Pentagon na język *operacyjnego* działania, była niezwykle **groźna** w swojej treści. Wynikało z niej, aczkolwiek USA unikały zawsze jak tylko mogły konfrontacji nuklearnej, ze względu na jej katastrofalne skutki, że tym razem zakładały zarówno jej **możliwość**, jak i **zwycięstwo** w przypadku dojścia do niej.

Nie wchodząc w dyskusję na ile zwycięstwo w wojnie nuklearnej było możliwe dla którejkolwiek ze stron, rzecz **niemożliwa** do stwierdzenia pod jej nieobecność, faktem jest, że w wojnę nuklearną zaczęto *wierzyć* w kołach kierowniczych USA, a nawet w wyjście z niej zwycięską ręką, bez względu na okres jej trwania.

"Zimna wojna" więc znalazła się na niebezpiecznym zakręcie, o czym ludzkość wtedy nie wiedziała. Zwłaszcza, że w czasie genewskiego szczytu Reagan-Gorbaczow w listopadzie 1985 r., w 3-4 lata po wspomnianych amerykańskich "dyrektywnych decyzjach", przywódcy obu supermocarstw w oświadczeniu końcowym stwierdzili, że "w wojnie nuklearnej **nie można zwyciężyć i nigdy nie należy do niej dążyć**".

Do wojny nuklearnej, na szczęście, nie doszło, "zimna wojna" niby skończyła się, ale "Reagonowska Dyrektywa" pozostawała formalnie **nadal** w mocy, przez 16 lat, aż do clintonowskiej PDD-60.

"Clintonowska Dyrektywa", znalazła swój praktyczny wyraz w SIOP-99 (Single Integrated Operational Plan), w Jednolitym Zintegrowanym Planie Operacyjnym Nr. 99, który wszedł w życie 1 października 1998 r.

Dopiero więc w 7-9 lat po *politycznym* zakończeniu "zimnej wojny", w zależności od tego jak je liczyć, zaczął się również *jakby* jej **wojskowy** koniec. "Jakby", gdyż do prawdziwego *wojskowego* końca "zimnej wojny" ciągle jeszcze daleko.

W PDD-60 stwierdza się, nie tak jak w "Reaganowskiej Dyrektywie", że z wojny nuklearnej **nie można** wyjść zwycięsko. Jednocześnie jednak zakłada się **utrzymanie "długofalowej opcji"** podjęcia uderzeń nuklearnych w wojskowe i cywilne ośrodki kierownicze Rosji oraz jej siły strategiczne. "Opcję" tłumaczy się tym, że Rosja stanowi **nadal** zagrożenie dla bezpieczeństwa USA. PDD-60 zobowiązuje także STRATCOM, Strategiczne Do-

wództwo, którym podlegają siły nuklearne USA, do znowelizowania wspomnianej już w innym miejscu "listy celów" na terenie Rosji

Wreszcie, rzecz najważniejsza, PDD-60 przewiduje na najbliższe lata **zachowanie** arsenału nuklearnego USA na poziomie nie mniejszym niż 10 tys. różnego rodzaju ładunków, w tym ok. 7 tys. strategicznych (za ładunki tego typu uważa się przenoszone na dystans powyżej 5,5 tys. km).

Jakie ma zaś Rosja plany w tej dziedzinie - nie wiadomo. Można jednak przypuszczać, że jej arsenał nuklearny **nie będzie** mniejszy od amerykańskiego.

Jeśli tak, to rozprawianie o końcu "zimnej wojny", zwłaszcza jej *wojskowej* części, zakrawa na nieporozumienie.

## 2. Świat pod bronią.

Dokładne określenie dźwiganego przez ludzkość ciężaru zbrojeń jest niemożliwe.

Oficjalnie podawana wysokość budżetu obronnego poszczególnych krajów *odbiega* często od faktycznej, zwłaszcza w przypadku Rosji i Chin. Poważna część wydatków obronnych jest też nagminnie ukrywana w cywilnych częściach budżetu, a ponadto różnie kształtują się w poszczególnych krajach ceny dostaw dóbr i usług na potrzeby obronne.

Porównywanie poza tym budżetów obronnych jedynie w oparciu o oficjalny kurs wymienny waluty narodowej, jeśli taki istnieje, może z kolei poważnie odbiegać od tzw. kursu parytetowego, opartego o jej rzeczywistą siłę nabywczą. Wysokość wydatków na obronę inaczej kształtuje się też w kraju z zawodowymi siłami zbrojnymi, jak w USA, gdzie koszty osobowe stanowią 3/4 tych wydatków, a inaczej w krajach z obowiązkową służbą wojskową, gdzie koszty te nierzadko stanowią 1/4 odpowiednio.

Inny jest wreszcie ciężar gatunkowy wydatków obronnych w kraju, posiadającym broń masowej zagłady, głównie nuklearną, a inny w kraju uzbrojonym jedynie w broń konwencjonalną.

Powyższy, daleki od doskonałości obraz wydatków na obronę, daje jednak jakieś pojęcie na temat *wielkości* potencjału wojennego poszczególnych krajów oraz światowych wydatków na obronę.

Wydatki te w 1997 r. wyniosły **ok. 805 mld. dolarów**, przeciętnie 136 dolarów na głowę mieszkańca świata, równając się ok. 1/40-tej wartości wyprodukowanych przez ludzkość dóbr i usług (Polska, dla porównania, wydała w 1997 r. na obronę ok. 3,1 mld. dol., w przeliczeniu na głowę mieszkańca wydała jedynie 80 dolarów).

Suma, choć ogromna, była o ok. 400 mld. dol. **mniejsza** od tej w 1985 r., u szczytu "zimnej wojny". W samych tylko USA, gdyby nie koniec "zimnej wojny", wydatki na obronę byłyby o 200-250 mld. dol. wyższe niż obecnie (co uniemożliwiłoby osiągnięcie obecnej nadwyżki budżetowej).

W 1997 r. świat miał prawie **23 miliony** ludzi pod bronią, ilość duża, ale prawie o 5 mln. mniejszą niż 12 lat wcześniej.

Wyśiętek zbrojny niektórych krajów, mierzony ich budżetem obronnym oraz ilością ludzi pod bronią, przedstawiał się w 1997 r. następująco:

<u>Wydatki (mld.dol.)</u>	<u>Ilość ludzi pod bronią (tys)</u>
- USA - 273,0	- 1. 480
- Francja - 41,5	- 381
- Japonia - 41,0	- 236
- Anglia - 35,7	- 214
- Niemcy - 33,4 (*)	- 347

(\*) *licząc według siły nabywczej waluty wymienionych krajów, powyższa kolejność zmienia się, z Japonią plasującą się przed Francją oraz Niemcami plasującymi się przed Anglią.*

Budżet obronny Rosji, liczony według oficjalnego kursu rubla, w 1998 r. miał wynieść tylko... ok. 7 mld. dolarów, z czego jakoby wydano jedynie 2/3 tej sumy, czyli ok. 4,7 mld. dolarów, sumę graniczącą z nonsensem!

Według siły nabywczej rubla zaś, budżet ten szacowano na 67 mld. dol. w 1997 r. (wobec ok. 344 mld. dol. szacowanych w odniesieniu do ZSRR w 1985 r.).

Czy tak było istotnie - trudno powiedzieć. Na 8 wiarogodnych źródeł międzynarodowych, szacujących rosyjski budżet obronny, nie licząc szacunków wywiadowczych, rozbieżności między nimi są bardzo poważne, w skrajnych przypadkach w stosunku 1:4.

Jest więc bardzo możliwe, że budżet ten był znacznie wyższy, przekraczając 100 mld. dol. Wydatki obronne w ZSRR w 1985 r. szacowano bowiem na co najmniej 1/6 pkb, produktu krajowego brutto, którego poziom, licząc w dzisiejszych dolarach, oceniano na 2.200 mld. dol. W dzisiejszej Rosji, ocenianej tylko na połowę tego poziomu, wydatkowanie przez nią nawet 100 mld. dol. na obronę stanowiłoby jedynie ok. 9 procent pkb, a więc sumę relatywnie bardziej "strawną" dla gospodarki niż było to w czasach sowieckich.

Biorąc pod uwagę stan sił zbrojnych Rosji, wynoszący 1,25 mln. w 1997 r., nie licząc wojsk wewnętrznych, pogranicznych oraz tzw. kolejowych, w połączeniu z olbrzymim arsenałem broni masowej zagłady i konwencjonalnej, suma 100 mld. dolarów jest prawdopodobnie koniecznym **minimum** dla utrzymania przez Rosję statusu supermocarstwa wojskowego.

USA, na przykład, supermocarstwo wojskowe, mające zbliżony do rosyjskiego arsenał nuklearny, wydają rocznie na jego utrzymanie ok. 35 mld. dol. Zakładając, że porównywalne rosyjskie wydatki, ze względu na niższe koszty osobowe, wynoszą tylko 1/3 tej sumy, która byłaby i tak **3-krotnie** wyższa od oficjalnie podawanych wydatków obronnych Rosji!.

W Chinach z kolei, oficjalnie podawany budżet obronny, wyniósł w 1997 r. ok. 9 mld. dol. (w 1999 r. miał wynieść 12,6 mld. dol.), sumę, podobnie jak w przypadku Rosji, graniczącą również z nonsensem. Prawdziwą wysokość chińskiego budżetu obronnego szacowano w 1997 r. na 37,5 mld. dol., sumę całkiem rozsądną jak na 2,8-milionowe siły zbrojne, najliczniejsze w świecie i nieźle wyposażone, również w broń nuklearną.

Ze względu na sąsiedztwo Polski z Ukrainą oraz Białorusią i tym krajom również należy poświęcić nieco uwagi.

Budżet obronny Ukrainy wynosił oficjalnie tylko 0,8-1,3 mld. dolarów w 1997 r., poziom niewiarogodnie niski jak na kraj z 390-tysięczną i dobrze uzbrojoną armią (według niektórych źródeł 700-800-tysięczną, w tym 32-tysięcznymi "wojskami strategicznymi", choć Ukraina, formalnie przynajmniej, nie jest "krajem nuklearnym").

Ukraiński budżet obronny jest w rzeczywistości zapewne **wielokrotnie** wyższy, znacznie wyższy od polskiego.

Podobnie zanizony jest budżet obronny Białorusi, oficjalnie podawany na 170-380 mln. dolarów, suma zbyt niska jak na wymogi utrzymania 85-tysięcznej armii (według niektórych źródeł ponad 2-krotnie liczniejszej), uzbrojonej w **większą** od Wojska Polskiego ilość nowocześniejszych samolotów i czołgów

Z powyższego zestawienia wynika więc, że w 1997 r. co najmniej **7 krajów** było mocarstwami wojskowymi, wśród których 5 było jednocześnie mocarstwami nuklearnymi.

Przepustką zaś do "mocarstwowego klubu" był zarówno budżet obronny, wynoszący *powyżej* 30 mld. dolarów, jak *jeszcze bardziej* posiadanie broni masowej zagłady, nuklearnej zwłaszcza.

### 3. Arsenał broni masowej zagłady.

#### *A. Broń chemiczna.*

Historycznie, najstarszą z broni masowej zagłady jest *broń chemiczna*, której początki, w prymitywnej formie, sięgają starożytności.

W nowszych czasach, podczas Wojny Krymskiej w 1855 r, rozważano

użycie broni chemicznej, w postaci dwutlenku siarki, przeciwko Rosjanom, podobnie jak rozważano jej użycie, w postaci gazu chlorowego, w 1863 r., w czasie amerykańskiej Wojny Secesyjnej. W obu wypadkach pomysły odrzucono jednak jako barbarzyńskie. Francuzi byli *pierwszymi*, którzy w sierpniu 1914 r., w czasie I wojny światowej, użyli broni chemicznej przeciwko Niemcom, w postaci gazu płaczącego. Następnymi byli Niemcy, którzy użyli w październiku 1914 r. *nietrującego* gazu przeciwko Anglikom. Śmiercionośnej broni chemicznej, gazu chlorowego, użyli po raz pierwszy Niemcy, przeciwko Rosjanom, 24 grudnia 1914 r., na ziemiach polskich. Nie bardzo jednak było wiadomo z jakimi skutkami, gdyż liczne wypadki zgonów w rosyjskich okopach były również wynikiem niskich temperatur.

Na masową skalę jednak, Niemcy użyli gazu chlorowego dopiero 22 kwietnia 1915 r., w czasie tzw. Drugiej Bitwy pod Ypres w Belgii. Na 6,5-kilometrowym odcinku frontu, wypuścili z ok. 5,7 tys. butli 168 ton tego sprężonego gazu przeciwko dwóm dywizjom francuskim i kanadyjskim, korzystając z wiatru wiejącego w kierunku przeciwnika. Dywizje spowiła żółta-zielona mgła, wywołując panikę i beładne opuszczanie okopów. Porażonych śmiertelnie było ponad 5 tysięcy, a dalsze ok. 10 tysięcy zostało ciężko porażonych, nierzadko na całe lata.

Niemiecki monopol na broń chemiczną, którą stanowiły niemal wyłącznie tzw. gazowe środki bojowe, został jednak szybko złamany. Od 1916 r. poczynając, wojujące strony masowo używały gazów bojowych na różnych frontach, głównie w pociskach artyleryjskich.

Broń chemiczna pochłonęła w czasie I wojny światowej co najmniej **0,8-1 mln** ofiar śmiertelnych, głównie wśród personelu wojskowego (na ok. 320 tys. zabitych i rannych wówczas Amerykanów, ok. 1/4 była ofiarą broni chemicznej). Przed większymi stratami uchroniły walczących maski gazowe, ale ich używanie ograniczało walczącym wojskom pole widzenia i słyszenia, utrudniały oddychanie, powodując ich szybkie zmęczenie, a wreszcie komplikowało dowodzenie na polu walki. Stąd też broń chemiczna nie cieszyła się popularnością wśród dowództwa naczelnego wojujących stron i po zakończeniu wojny, uznając ją za nie dającą *nikomu* koniecznej przewagi operacyjno-strategicznej, pod pretekstem jej "niehumanitarnych cech", zakazano ją Konwencją Genewską 29 państw z 1925 r. (nie podpisały jej m. in. USA i Japonia).

Zakaz został jednak złamany przez Włochy, które użyły gazów bojowych w wojnie z Etiopią w latach 1935-1936, a następnie Japonię, która w wojnie z Chinami, w latach 1937-1945, używała miejscami gazów trujących na niewielką skalę.

W czasie II wojny światowej, poza wspomnianym wyjątkiem frontu ja-

pońsko-chińskiego, broni chemicznej na polach walki nie używano (Anglicy, w odpowiedzi na niemieckie ataki V-1 oraz V-2, możliwość taką rozważali, ale z niej zrezygnowali)..

Środków chemicznych, jak wiadomo, na masową skalę używali Niemcy do celów ludobójczych w obozach zagłady.

Po II wojnie światowej, USA, w czasie wojny indochińskiej, używały *nieśmiercionośnych* środków chemicznych na polu walki oraz do defoliacji obszarów leśnych.

Na nieznaną skalę natomiast, *śmiercionośnej* broni chemicznej, używały wojska egipskie w latach 1961-1965, uczestniczące w jemeńskiej wojnie domowej, tak samo jak prawdopodobnie, używano jej w czasie wojny iracko-irańskiej w latach 1980-1988 oraz sowiecko-afgańskiej w latach 1980-1988. Z pewnością użył jej też Irak, w 1988 r., w miasteczku Halabja, przeciwko buntującym się Kurdom, zabijając ich kilka tysięcy, głównie spośród ludności cywilnej.

Problem broni chemicznej, która w ostatnich dziesięcioleciach, niestety, została bardzo unowocześniona, wygląda na *formalnie* rozwiązany. W 1966 r. Zgromadzenie Ogólne ONZ potwierdziło ważność przedwojennej Konwencji Genewskiej, tym razem popartej przez USA oraz Japonię. Następnie, Paryska Konwencja o Zakazie Broni Chemicznej z 13 stycznia 1993 r., zobowiązała sygnatariuszy do jej całkowitej eliminacji z arsenałów wojennych. Istnieją jednak podstawy do obaw, że w praktyce problem eliminacji broni chemicznej **nie jest** rozwiązany. Konwencja zbyt długo wchodziła w życie, stając się obowiązującą dopiero od 29 kwietnia 1997 r., a ponadto podpisało i ratyfikowało ją tylko 107 państw, podczas gdy pozostałe 80, albo ją podpisało, ale nie ratyfikowało, albo w ogóle nie podpisało (chodzi tu głównie o kraje Bliskiego Wschodu). Niektóre zaś kraje, które dopełniły wszystkich formalności, jak Rosja, mająca *największy* arsenał broni chemicznej w świecie, szacowany na 44 tys. ton (amerykański szacowany jest na 32 tys. ton), nie tylko nie niszczy zapasów tej broni, ale podobno kontynuuje jej produkcję.

Broń chemiczną należy więc **nadal** uznawać za niezwykle groźną dla ludzkości, szczególnie w epoce rozwoju broni raketowej, pozwalającej przemieszczać ją szybko i na tysiące kilometrów. Jest ona poza tym wysoce niebezpieczna w rękach terrorystów i sabotażystów, działających głównie w wielkich aglomeracjach miejskich.

## B. Broń biologiczna.

Ten rodzaj broni, zwany również bronią bakteriologiczną, w prymityw-



nej formie stosowany był już przed wiekami, kiedy przeciwnikowi, najczęściej obłożonemu, podrzucano ciała zmarłych na choroby zakaźne.

Jeden z takich przykładów, ze względu na jego skutki, godny jest przypomnienia. Tatarzy, oblegający w 1346 r. czarnomorski port-miasto Kaffę, zaczęli raptem masowo umierać na dżumę. Przed przerwaniem oblężenia jednak, za mury obronne miasta przrzucili przy pomocy katapulty ciało zmarłego na nią wojownika, które natychmiast rozsiało zarazę, dziesiątkując mieszkańców Kaffy. Wśród nich znajdowali się czasowo także kupcy genueńscy, którzy, nie dotknięci zarazą, powrócili do Europy. Nie na długo, jak się wkrótce okazało, gdyż zarazki dżumy przywędrowały wraz z nimi szczurami na statkach, rozprzestrzeniając się wkrótce po zachodniej i południowej części Europy, w wyniku czego co najmniej 1/3 jej mieszkańców zmarła.

Nigdy przedtem ani potem **żadna** część świata nie poniosła tak wielkich strat w ludności w rezultacie "*prymitywnej wojny biologicznej*", prowadzonej w dodatku gdzieś daleko od miejsca jej przyszłych ofiar.

W czasie wojen napoleońskich, prymitywną wojnę biologiczną prowadzono w sposób zorganizowany, masowo wrzucając trupy ludzkie i zwierzęce do studni dla skażenia wody i wywołania zabójczych epidemii.

W czasach współczesnych, w 1916 r., według niektórych źródeł, Niemcy były *pierwszym* krajem, który eksperymentalnie użył już nowoczesnej broni biologicznej w okupowanej Rumunii, zarażając masowo węglikiem bydło rogate oraz konie i dziesiątkując je w krótkim okresie czasu.

W okresie międzywojennym, na równi z chemiczną, broń biologiczna została zakazana Konwencją Genewską z 1925 r. Według nie potwierdzonych danych, złamali ją zarówno Japończycy w walkach w Mongolii w sierpniu 1939 r., jak i Amerykanie w czasie wojny koreańskiej.

Formalnie, drogą osiągniętego porozumienia pomiędzy USA, ZSRR oraz Anglią 10 kwietnia 1972 r, otwartego następnie do podpisu dla innych państw, zwanego Konwencją o Zakazie Broni Bakteriologicznej (Biologicznej) oraz Toksykowej, zwanej w angielskim skrócie BTWC, ten rodzaj broni jest zakazany, po tym jak Konwencja weszła w życie 26 marca 1975 r.

Sygnatariuszami Konwencji są 142 państwa (stan na początku 1998 r.), aczkolwiek 18 z nich jej nie ratyfikowało. Niektóre zaś, jak Indie, Meksyk czy nawet Szwajcaria oraz Irlandia, przystąpiły do niej pod różnymi zastrzeżeniami. Izrael nie podpisał jej w ogóle.

Ze względu na niebywały postęp biologii oraz bakteriologii, jak też opartych na tej bazie przemysłów, formalne przystąpienie do Konwencji w praktyce może niewiele oznaczać. Są bowiem podstawy do przypuszczeń, że badania nad bronią biologiczną oraz jej produkcja istnieją w wysoce *utajnio-*

*nych* warunkach w wielu krajach. Niektórzy nawet posadzają, że Irak użył jej w czasie wojny w Zatoce Perskiej zimą 1991 r., w wyniku czego dziesiątki tysięcy wojsk koalicji mogło paść ofiarami (liczne już zmarły, a jeszcze liczniejsze cierpią na przewlekłe choroby, przenoszone na członków rodziny oraz osoby pozostające z nimi w kontakcie).

Według niektórych prognoz, broń biologiczna jest "*bronią przyszłości*", może z czasem **groźniejszą** od nuklearnej (jej arsenał w Rosji jest podobno w stanie zniszczyć całą ludzkość). Szacuje się na przykład, że rozpylenie 100 kg węglika (anthrax) w 3-milionowym mieście może w krótkim czasie spowodować śmierć *wszystkich* jego mieszkańców.

Godny uwagi jest jeszcze inny aspekt omawianego zagadnienia.

W świecie wiele śmiertelnych chorób zakaźnych jest dziś, dzięki szczepionkom, poważnie zneutralizowanych, albo nawet, jak ospa, całkowicie wyeliminowanych. Wirusy ospy jednakże, w zamrożonym stanie, są przechowywane w USA i Rosji. Gdyby stamtąd przypadkowo wydostały się, lub celowo je wypuszczono w świat, to mogłyby zginąć *dziesiątki*, jeśli nie *setki milionów* ludzi, gdyż ludzie poniżej 30 lat są już naogół nie szczepieni przeciwko ospie, światowe zapasy antyospowej szczepionki nie przekraczają 10 mln. ampulek, a przemysł farmaceutyczny już ich nie produkuje.

Broń biologiczna wreszcie, jest **idealna** dla celów walki dywersyjno-sabotażowej, ze względu na łatwość jej przetrzutu na teren przeciwnika oraz użycia w niepostrzeżony sposób.

Broń chemiczna i biologiczna więc, często nazywana bronią chemiczno-biologiczną, CBW w angielskim skrócie, to niezwykle "*obietująca*" broń przyszłości, przez niektóre kraje uważana za "*broń biednego człowieka*", którego **nie stać** na kosztowne bronie konwencjonalne i nuklearną.

Po ataku NATO na Jugosławię, w sytuacji gdzie nienaruszalność suwerenności państwa przestała być normą prawa międzynarodowego, zainteresowanie bronią chemiczną i biologiczną **wzrosło** z pewnością w tych krajach, które są *niezdolne* do obrony jej środkami konwencjonalnymi.

### C. Broń nuklearna.

Ze wszystkich trzech rodzajów broni masowej zagłady najgroźniejszą jest **broń nuklearna** i według wszystkich prognoz pozostanie nią także w najbliższej przyszłości.

Od momentu historycznych odkryć małżeństwa Curie w dziedzinie fizyki jądrowej w 1898 r. oraz przeprowadzenia pierwszej reakcji jądrowej w 1919 r. przez angielskiego fizyka Ernesta Rutherforda, poprzez opracowanie

w 1939 r. teorii łańcuchowej reakcji jądrowej przez Fryderyka Joliot-Curie, a na uruchomieniu w 1942 r. w Chicago przez Enrico Fermi'ego pierwszego w historii reaktora - ludzkość weszła w nową erę, *erę nuklearną*, której końca nie zna jeszcze.

USA, które pierwsze, dzięki decyzji prezydenta Roosevelta oraz swoim możliwościom naukowo-technicznym, dostrzegły korzyści z naddciągania tej ery, początkowo w jej "wojennym wymiarze", nie były odosobnione. Zaawansowane na tym polu były także Niemcy i nie wiadomo jaki byłby tego efekt, gdyby Hitler nie wydrwił "żydowskiej fizyki", niweczając wysiłki uczonych na tym odcinku. Energiczne badania nad opanowaniem energii nuklearnej prowadziły też Anglia oraz ZSRR, który w 1946 r., w cztery lata po USA, uruchomił własny reaktor, jako drugi kraj w świecie.

Wyścig wygrały USA, co obwieściła 16 lipca 1945 r., utrzymana wówczas w tajemnicy, pierwsza w historii eksplozja bomby atomowej na poligonie doświadczalnym w Alamogordo, w stanie Nowy Meksyk.

Eksplozja, dająca ludzkości do ręki broń nuklearną, początkowo atomową, jądrową, potem wodorową, termojądrową, stworzyła **po raz pierwszy** w jej dziejach bądź to okazję położenia kresu wojnom bądź realną groźbę położenia kresu jej własnej egzystencji.

Próby dokonania wyboru między tymi skrajnymi alternatywami, podjęte przez USA w 1946 r. na forum ONZ, wspomniane w innym rozdziale, spetziły na niczym i "*duszek nuklearny*" wyrwał się na wolność.

Najgorsze, że w broni nuklearnej dostrzeżono "*broń absolutną*", marzenie wodzów i strategów wojennych od niepamiętnych czasów.

Jak bardzo ludzkość zbliżyła się do tych marzeń niech świadczy następujący fakt:

- anglo-amerykański nalot na Drezno w dniu 13 lutego 1945 r., przeprowadzony przez 1.214 bombowców, które zrzuciły na miasto 6 tys. ton bomb zapalających, spowodował śmierć ok. 135 tys. oraz ranienie ok. 41 tys. jego mieszkańców.

W dniu 6 sierpnia 1945 r. natomiast, jeden tylko bombowiec amerykański B-29, zrzucając na Hiroszimę 4-tonową bombę atomową, o sile wybuchowej 16 kiloton, ekwiwalent 16 tys. ton trotylu, uśmiercił ok. 150 tys. i ranił ok. 90 tys. mieszkańców miasta. Eksplozja wytworzyła, przez ułamek sekundy, temperaturę 300 tys. stopni Celzjusza, dotychczas *nigdy* nie wytworzoną przez człowieka, która, obok fali uderzeniowej, wywołała "burzę ogniową", największy niszczycielski efekt bomby. Innym niszczycielskim jej efektem było zabójcze promieniowanie radioaktywne, kolejna *nowość* tej broni.

"Parametry niszczycielskie", jak się wkrótce okazało, były tylko *początkiem* ich pięcia się w górę, gdyż ładunki wodorowe, przy tej samej wadze co atomowe, miały już średnio ponad **1.000-krotną** siłę niszczenia, nie mówiąc o zwiększaniu *kalibru* tych ładunków (jeden z nich, jak to już wspomniano w innym miejscu, eksplodowany w atmosferze przez ZSRR w październiku 1961 r., miał ponad **3.600-krotnie** większą siłę wybuchową od "bomby hiroszimskiej"). Jak wielka jest moc niszczenia broni nuklearnej niech świadczy fakt, że 1-megatonowy (ekwiwalent 1mln. ton trotylu) ładunek wodorowy może dokonać zniszczeń całkowitych i częściowych w promieniu ok. 32 kilometrów!

"Duszek nuklearny" poszybował więc w świat, wydłużając z latami listę "krajów nuklearnych", rzecz o tyle niepokojąca, że dzieje się to niby **wbrew** woli ludzkości. Jedne kraje bowiem, absolutna ich większość, wyrzekły się posiadania broni nuklearnej. Drugie zaś, główne mocarstwa nuklearne, zobowiązały się w zamian za to nie pomagać pozostałym w jej opanowywaniu, a nawet podjąć przeciwko nim bliżej nie sprecyzowaną wspólną akcję, gdyby próbowały to czynić.

Ba, ZSRR i USA, największe mocarstwa nuklearne, zaczęły nawet opowiadać o gotowości *rozbrojenia* nuklearnego. W 1957 r. na przykład - powtarzając za poprzednim rozdziałem - trzy ówczesne mocarstwa nuklearne, USA, ZSRR oraz Anglia, podjęły próby mające na celu *nie tylko* powstrzymanie innych krajów od wejścia w posiadanie broni nuklearnej, ale także pozbycia się własnej.

Z tych o tyle szczytnych, co zapewne niezbyt szczytnych zamiarów, po latach negocjacji, zwłaszcza pomiędzy USA i ZSRR, nie tylko **nie** wyszło, ale jeszcze "nuklearny klub" powiększył się, tak jak niszczycielska moc broni nuklearnej oraz jej zasięg operacyjny i precyzja rażenia celu.

U szczytu "zimnej wojny" więc, w połowie lat 1980-ch, świat, zamiast pozbycia się broni nuklearnej, jak to niby próbował uczynić, był "utkany" ilością **ok. 70 tysięcy** różnego rodzaju ładunków nuklearnych, w ok. **750** jego punktach (pod określeniem "ładunek nuklearny" rozumie się nuklearne: głowice, bomby grawitacyjne, pociski artyleryjskie, torpedy oraz miny).

Ilościowo ładunków tych było ponad **100-krotnie** więcej niż w 1957 r., kiedy to zaczęto mówić o "rozbrojeniu nuklearnym"!

Światowy potencjał nuklearny, o przerażających rozmiarach, w rzeczywistości mógł być nawet jeszcze większy, gdyż nadal **nie ma** na ten temat wiarogodnych danych. Arsenal nuklearny tylko samego b. ZSRR na przykład, liczony w megatonach, czyli w milionach ton trotylu, szacowany był w jego szczytowym okresie jako zdolny zabić **każdego** mieszkańca globu aż 30

razy. Podobnie było z amerykańskim w jego szczytowym okresie.

Czy tak było naprawdę - trudno powiedzieć. ZSRR nie ujawniał **nigdy** swojego arsenału nuklearnego, podczas gdy amerykańskie jego szacunki różniły się poważnie między sobą (niektóre z nich arsenał ten szacowały, w jego szczytowych latach 1973-1976, na ok. 20 tys. megaton, ekwiwalent ok. 20 miliardów ton trotylu. Niemal identyczny był arsenał nuklearny USA w 1960 r.).

Po tym szczytowym okresie, w wyniku postępu naukowo-technicznego w broni nuklearnej obu supermocarstw, ich arsenał nuklearny "wagowo" zaczął spadać. Spadek ten był jednak sprawą względną. Mniejszy "kaliber" ładunków nuklearnych był rekompensowany ich większą skutecznością rażenia. Stąd też spadek "megatonowego składnika" arsenału nuklearnego, w USA do ok. 1/10-ej dawnego poziomu, a w Rosji do ok. 1/7-tej, jest więc **bez większego znaczenia**.

Przechodząc do światowego arsenału nuklearnego w 1998 r., to według szacunków, którym można dawać wiarę lub nie, uległ on *redukcji* w porównaniu do szczytowego okresu "zimnej wojny", wynosząc obecnie "tylko" **ok. 36 tysięcy** ładunków nuklearnych, rozmieszczonych w ok. **150** punktach świata, w tym 90 znajdowało się w Rosji oraz 14 w USA (nie licząc broni nuklearnej bazowanej na okrętach podwodnych).

Obecnie więc, z formalnego punktu widzenia, jest jakby więcej powodów do optymizmu niż dawniej, ale nie należy zapominać, że jest to tylko część prawdy, jeśli nie złudzenie. Powyższy spadek ilości ładunków nuklearnych w świecie dotyczy bowiem jedynie tych "na służbie", ale **nie** tych w magazynach. Tylko w Rosji, odziedziczona po ZSRR, ilość "materiału bazowego" do produkcji broni nuklearnej, wynosi ok. 1,2 tys. ton wzbogaconego uranu oraz 150 ton plutonu (według innych szacunków 250 ton). Połowa tego materiału zawarta jest w aktualnie istniejącej broni nuklearnej, zarówno "na służbie", jak i "w rezerwie", podczas gdy druga połowa może stać się nią w **każdej chwili**.

Rosja ponadto, produkuje nieprzerwanie nowy "materiał bazowy" dla broni nuklearnej, łącznie z jej *nowymi* ładunkami, tzw. 5-tej generacji (USA skończyły podobno na 4-tej generacji).

Jak zatem jest naprawdę z arsenałem nuklearnym w świecie, obu supermocarstw w pierwszym rzędzie, tego prawdopodobnie **nikt** nie wie. Możliwe też, że posiadaczy broni nuklearnej jest *więcej* niż o tym wiadomo. "Prymitywną" broń nuklearną można wyprodukować **bez** dokonywania z nią prób pozalaboratoryjnych. Tak właśnie było z amerykańską bombą atomową, "uranową", zrzuconą na Hiroszimę, z którą prób pozalaboratoryjnych przedtem

nie było (bomba zrzucona dwa dni później na Nagasaki, "plutonowa", była wypróbowana trzy tygodnie wcześniej na poligonie doświadczalnym). Identycznie było z 6-cioma pakistańskimi podziemnymi próbami nuklearnymi w maju 1998 r. Do tego momentu Pakistan żadnych prób pozalaboratoryjnych z bronią nuklearną nie dokonywał i nawet nie było pewne czy był w jej posiadaniu. Dopiero w odpowiedzi na hinduskie próby dokonane parę dni przedtem, Pakistan dokonał własnych, ujawniając przy tej okazji fakt posiadania broni nuklearnej, niezawodnej w działaniu.

Oddzielnym problemem jest "*jakość*" broni nuklearnej oraz *środk* jej przenoszenia do celu.

W przeszłości, nacisk był położony na ładunki o *maksymalnej* sile niszczenia drogą fali uderzeniowej, "burzy ogniowej", a następnie radioaktywnego rażenia. Nacisk ten wynikał *głównie* z *małej* precyzji donoszenia do celu ładunków nuklearnych, zwłaszcza przez bombowce oraz wcześniejsze typy raket międzykontynentalnych (celami priorytetowymi były zawsze wojskowe, jak punkty dowodzenia, "silosowane" oraz bazowane na jednostkach pływających rakiety międzykontynentalne, lotniska i węzły komunikacyjne).

Wrzaz z upływem czasu, w wyniku postępu w przenoszeniu ładunków nuklearnych na odległość, *głównie* przy pomocy raket "ziemia-ziemia", "woda-ziemia" oraz "powietrze-ziemia", w zależności od platformy ich bazowania, celność ich *wzrosła* niezmiernie. Przy możliwości niemal *precyzyjnego* trafienia nawet w niewielkich rozmiarów cel, oddalony o tysiące kilometrów, ładunek nuklearny mógł być w tej sytuacji mniejszego kalibru, osiągając ten sam skutek. Ładunek zaś przeznaczony do niszczenia "siły żywej", neutronowy, też nie musi być dużego kalibru.

"Terror nuklearny" więc, bez względu na wielkość *wagową* istniejących arsenałów nuklearnych, jest **nadal** przysłowiowym mieczem Damoklesa, wiszącym nad głową człowieka, choć formalnie nie ma już "zimnej wojny".

I **nikt** nie jest w stanie przewidzieć kiedy spadnie on na jego głowę...

#### 4. W cieniu mocarstw nuklearnych.

Dla ludzkości **nie może** być obojętne, jeśli już broń nuklearna istnieje, w *czyim* jest ona posiadaniu.

Precyzyjne ułożenie listy mocarstw nuklearnych, z uwzględnieniem wielkości oraz jakości ich nuklearnego arsenału, nie jest sprawą prostą z powodu braku wiarygodnych danych na ten temat.

Sporadycznie wspominany już wielokrotnie skład "klubu nuklearnego", wymaga bliższego sprecyzowania, *głównie* według zajmowanego miejsca



przez jego członków pod względem ilości ładunków nuklearnych w 1998 r.(x):

1. Rosja - ok. 23.000 (z tego ok. 1/4 ładunki strategiczne);
2. USA - ok. 12.000-15.500 (z tego ok. 1/2 ładunki strategiczne);
3. Chiny - 400-450 (w tym nieznaną ilość ładunków strategicznych);
4. Francja - 450 (z tego ok. 2/3 strategiczne);
5. Anglia - 160 (wszystkie strategiczne);
6. Izrael - 100-200 (szacunek, wszystkie prawdopodobnie niestrategiczne);
7. Indie - 80-100 (szacunek, wszystkie prawdopodobnie niestrategiczne);
8. Pakistan - 15-25 (szacunek, wszystkie prawdopodobnie niestrategiczne).
9. Rep. Afryki Płd. - 6 (prawdopodobnie zniszczone, po tym jak w końcu lat 1980-ch zrezygnowano z broni nuklearnej);
10. Korea Północna - 1-2 (lub więcej, ilość domniemana, podobnie jak szacowana ilość ok. 100 w 2000 r.).

(x) "ładunki" (charges) są pojęciem szerszym niż tylko głowice czy bomby, obejmując także pociski artyleryjskie, miny i torpedy. Ładunki "strategiczne" obejmują natomiast jedynie głowice raket międzykontynentalnych, rażących cele na dystans powyżej 5,5 tys. kilometrów.

Skład "nuklearnego klubu", aczkolwiek ilościowo niewielki, w rzeczywistości stanowi prawie połowę ludzkości, zjawisko wysoce niepokojące. Można bowiem z góry założyć, że następna połowa ludzkości, choć niekoniecznie cała, zechce również wcześniej czy później pójść w ślady tej pierwszej (według niektórych doniesień Korea Południowa i Tajwan już ją mają, a nawet gotowe są dokonać z nią prób podziemnych, przed czym powstrzymują je USA).

Pierwszym historycznie "krajem nuklearnym" stały się USA, wchodząc w 1945 r. w posiadanie broni atomowej oraz w 1952 r. broni wodorowej.

Drugim był ZSRR, idąc w amerykańskie ślady odpowiednio w 1949 r. i w 1953 r.

Trzecim była Anglia, czyniąc to samo w 1952 r. i w 1957 r.

Czwartym została Francja, opanowując broń atomową w 1960 r. oraz wodorową w 1968 r.

Piątym były Chiny, wchodząc w posiadanie tych broni w 1964 r. i w 1967 r. odpowiednio.

Szóstym stały się Indie, dokonując próby z bronią atomową w 1974 r., ale zaprzeczając, że była to próba o wojskowym charakterze. Czy i kiedy

opanowały również broń wodorową - nie jest pewne (w trakcie dokonanych w maju 1998 r. 5-ciu prób podziemnych z ładunkami nuklearnymi, jeden był na granicy wodorowego, albo nawet wodorowy, ale całkowitej pewności co do tego nie ma, gdyż Indie niczego nie potwierdzają ani niczemu nie zaprzeczają).

Siódmym, choć może był nim już wcześniej od Indii, stał się Izrael, ale kiedy dokładnie - nie jest pewne. Na razie jest mocarstwem atomowym, ale jeszcze nie wodorowym, choć ładunki atomowe są podobno o wzmocnionej sile wybuchu. Żadnej oficjalnej próby z bronią nuklearną nigdy nie przeprowadził, aczkolwiek uważa się, że nieoficjalnie dokonał jej 22 września 1979 r. na Wyspach Księcia Edwarda, należących do Republiki Afryki Południowej, eksplodując 3-kilotonowy ładunek atomowy.

Ósmym, w latach 1980-ch, została Republika Afryki Południowej, ale zrezygnowała z tego statusu, niszcząc podobno posiadane 6 ładunków atomowych, aczkolwiek jest niemożliwe do stwierdzenia.

Dziewiątym, na razie ostatnim oficjalnie uznawanym mocarstwem nuklearnym, po tym jak przeprowadził w maju 1998 r. podziemne próby z 6-ciomą ładunkami nuklearnymi, stał się Pakistan, wchodząc w posiadanie broni atomowej, ale jeszcze nie wodorowej.

Dziesiątym, domniemanym posiadaczem broni nuklearnej, jak to już wspomniano powyżej, jest Korea Północna. Informacje na temat jej ewentualnego awansu do "nuklearnego klubu" są jednak niezbyt udokumentowane. Natomiast jest wysoce możliwe, że poza Pakistanem, który jej aktywnie pomaga w jej stworzeniu, potajemnie mogą to czynić również Rosja jak i Chiny. Mając ponadto rakiety o cechach międzykontynentalnych, co jest już stwierdzone ponad wszelką wątpliwość, Korea Północna, niezależnie od własnych chęci, może być wykorzystana przez Rosję oraz Chiny jako "nuklearny straszak" w obszarze Pacyfiku, z zachodnim wybrzeżem USA włącznie.

Do "nuklearnego klubu", o czym już marginesowo wspomniano w innym miejscu, przez krótki okres należały także Ukraina, Kazachstan oraz Białoruś. Na ile zaś przestały nimi być, albo jak długo mogą nimi nie być, jest sprawą domysłów.

W świecie jest co najmniej 46 krajów (wliczając do nich Tajwan), które bądź już posiadają broń nuklearną bądź są zdolne do opanowania jej produkcji, ze względu na posiadanie reaktorów atomowych (kraje nuklearne, lub domniemane jako nuklearne, podane są tłustym drukiem):

- |              |                   |                                  |
|--------------|-------------------|----------------------------------|
| 1. Algieria  | 17. Indonezja     | <b>33. Republika Afryki Płd.</b> |
| 2. Argentyna | <b>18. Izrael</b> | <b>34. Rosja</b>                 |
| 3. Australia | 19. Iran          | 35. Rumunia                      |

- |                    |                       |                         |
|--------------------|-----------------------|-------------------------|
| 4. Austria         | 20. Japonia           | 36. Słowacja            |
| 5. Bangladesz      | 21. Kanada            | 37. Szwajcaria          |
| 6. Belgia          | 22. Kolumbia          | 38. Szwecja             |
| 7. Brazylia        | 23. Kongo (b. Zair)   | 39. Tajwan              |
| 8. Bułgaria        | 24. Korea Płd.        | 40. Turcja              |
| 9. Chile           | <b>25. Korea Płn.</b> | 41. Ukraina             |
| <b>10. Chiny</b>   | 26. Meksyk            | <b>42. USA</b>          |
| 11. Egipt          | 27. Niemcy            | 43. Węgry               |
| 12. Finlandia      | 28. Norwegia          | <b>44. Wielka Bryt.</b> |
| <b>13. Francja</b> | <b>29. Pakistan</b>   | 45. Wietnam             |
| 14. Hiszpania      | 30. Peru              | 46. Włochy              |
| 15. Holandia       | <i>31. Polska</i>     |                         |
| <b>16. Indie</b>   | 32. Republika Czeska  |                         |

Oprócz tej "46-ki" czasem wymienia się jeszcze 9 innych krajów, które są w stanie wejść kiedyś w posiadanie broni nuklearnej, a mianowicie: Danię, Grecję, Irak, Libię, Litwę, Portugalię, Syrię, Urugwaj i Wenezuelę.

W świecie istnieje więc **potencjalna** możliwość "wielkiego urodzaju" na mocarstwa nuklearne. Oczywiście, kraje takie jak Japonia, Niemcy, Kanada czy Włochy mogą bardzo szybko stać się wielkimi mocarstwami nuklearnymi, podczas gdy takie jak Kongo, Peru, Algieria czy kilka innych, z Polską włącznie, potrzebowalaby na to wielu lat, z wątpliwym rezultatem w dodatku.

Kandydatami, jeśli już nie do produkcji, to przynajmniej do nabycia broni nuklearnej, mogą być także różne międzynarodowe kartele mafijno-gangsterskie, jak też różnego rodzaju organizacje narodowo-wyzwoleńcze, albo po prostu terrorystyczne, nierzadko powiązane z obcymi służbami specjalnymi, nie wykluczając tych z mocarstw nuklearnych. Poszukiwaną bronią nuklearną mogą być jej różne odmiany w zminiaturyzowanej formie, jak na przykład "walizki nuklearne", ważące 25-40 kilogramów, z których posiadania, w ilości ponad 300, Rosja nie robi nawet tajemnicy (moc wybuchową "walizki" szacuje się na 1 kilotonę, ekwiwalent 1.000 ton trotylu).

Zachowując podaną powyżej kolejność poziomu arsenałów poszczególnych mocarstw nuklearnych, na szczególną uwagę zasługuje ich *wewnętrzna* struktura organizacyjna i rzeczowa, która może mieć **decydujące** znaczenie w przypadku konfliktu zbrojnego.

W 1998 r. była ona następująca (w przypadku Rosji na 1 stycznia 1999 r.):

**- Rosja:** na szacowaną ilość ok. 23 tys. ładunków nuklearnych (według niektórych szacunków 2-krotnie większą), ładunków strategicznych, decydujących w wojnie, według rosyjskich źródeł podających stan było 6.236

(pozostałe należały do kategorii ładunków niestrategicznych).

Rosyjskie siły strategiczne, stanowiące wydzieloną część sił zbrojnych, liczące ok. 150 tys. oficerów i żołnierzy, zorganizowane były w tzw. *triadę*, złożoną z trzech "nóg", których podstawową jest "noga lądowa", 100-tysięczne RWSN, "Rakietnyje Wajska Strategiczeskawe Naznaczenija", zorganizowane w 4 (5 według niektórych źródeł) rakietowych armii, w skład których wchodzi 19 rakietowych dywizji. Aktualnie rosyjskie siły nuklearne są w stanie reorganizacji (możliwe, że została już zakończona), w wyniku czego *triada* zostanie podporządkowana operacyjnie nie Sztabowi Generalnemu, jak to było dotąd, a nowoutworzonemu OGK SSS (Ob'jednionemu Głównemu Komandowaniju Strategiczeskich Sił Sdierżiwania), Zjednoczonemu Dowództwu Naczelnemu Strategicznych Sił Odstraszenia, instytucji w poważnym stopniu analogicznej do amerykańskiego STRATCOM.

*Pierwsza* "noga triady" miała następujący skład rzeczowy:

- 180 rakiet "ziemia-ziemia" 220-tonowych RS-20, albo "Szatan", zwanych w świecie SS-18, o zasięgu 12 tys. km., 10-głowicowych, z których każda ma moc wybuchową 0,55-0,75 megatony (ponad 35-47-krotnie większą od "bomby hiroszimskiej"). Bazowane w umocnionych silosach, rakiety te w ostatnich 25-latach były **najpotężniejsze** w świecie. W szczytowym momencie było ich 308 (w ramach porozumienia amerykańsko-rosyjskiego START II z 1993 r., do 2003 r. miały być wycofane ze służby; ale ponieważ Duma nie ratyfikowała porozumienia do września 1999 r., bez pewności kiedy to uczyni, szanse dotrzymania tego terminu są żadne);

- 160 bazowanych w silosach 6-głowicowych rakiet "ziemia-ziemia" RS-18, zwanych w świecie SS-19, o zasięgu 10 tys. km i mocy wybuchowej głowicy 0,75 megatony;

- 46 rakiet 10-głowicowych "ziemia-ziemia" SR-22, "Mołodiec", zwanych w świecie SS-24, z czego 36 bazowanych na wagonach kolejowych i 10 w silosach, o zasięgu 10 tys. km. i mocy wybuchowej głowicy 0,55 megatony;

- 360 rakiet jednogłowicowych "ziemia-ziemia" RS-12M, "Topol", zwanych w świecie SS-25, bazowanych na ciężkich pojazdach samochodowych (stąd nazwa "rakiety pojazdowe"), o zasięgu 9-10 tys. km., z mocą wybuchową głowicy 0,55 megatony. Topol-M, rakiet 47-tonowa, wraz z pojazdem 100-tonowa, trójczłonowa i na paliwie stałym, przystosowana podobno do 3, a nawet 7 głowic, odpalana "na zimno", ma stać się w najbliższych latach główną, albo **jedyną** rosyjską rakieta strategiczną "ziemia-ziemia". Zwana przez jej konstruktorów "Niezwyciężoną", jest przewidziana, dzięki zmienności toru lotu głowicy (lub głowic), do pokonywania ewentualnej obro-

ny antyrakietowej (jeśli taka będzie zainstalowana przez USA).;

- 10 jednogłowicowych, pierwszych z rozmieszczanych od grudnia 1998 r., rakiet "ziemia-ziemia" RT-2PM2 "Topol-MS", bazowanych w silosach (zmożliwością zamiany na pojazdowe), zwanych na Zachodzie SS-27, o zbliżonych do SS-25 parametrach bojowych.

Ile będzie tych najnowszych rakiet SS-25 oraz SS-27 i jak szybko rozpoczną służbę, nie jest pewne, gdyż różne są informacje na ten temat.

Rakiety SS-24, SS-25 oraz SS-27 są raketami tzw. V-tej generacji, najnowszymi i **nie mającymi** odpowiednika w świecie. Ruchome platformy czynią ich wykrycie trudnym zadaniem na bezkresnych obszarach Rosji, podczas gdy odpalanie rakiet "na zimno", pozwala na *wielokrotne* wykorzystywanie platformy, co automatycznie **zwiększa** siłę ogniową tego typu broni (odpalanie "na zimno" polega na pionowym wypchnięciu rakiety z pojemnika sprężonymi gazami, po czym następuje uruchomienie jej silników i lot do celu. Pojemnik można następnie załadować następną raketą).

W sumie, ilość rakiet "ziemia-ziemia" wynosiła 756, z ilością głowic 3.590, o łącznej mocy wybuchowej 2.167 megaton, czyli ponad 3/4 mocy wybuchowej wszystkich rodzajów rosyjskiej broni strategicznej.

*D r u g a* "nogą" rosyjskiej triady jest morską, liczącą ok. 13 tys. oficerów i marynarzy.

W ich dyspozycji znajdują się 24 nuklearne łodzie podwodne (albo 40 według innych źródeł), w tym 5 klasy "Tajfun", każda o wyporności 30 tys. DWT (jest ich 6, ale podobno tylko 5 odbywa służbę). "Tajfuny" są **największymi** nuklearnymi łodziami podwodnymi w świecie, każda z 20-ma, o zasięgu 8,3 tys. km., 10-głowicowymi raketami "woda-ziemia" na pokładzie, z mocą wybuchową głowicy od 0,1 do 0,5 megatony. Pozostałe 3 klasy nuklearnych łodzi podwodnych, głównie "Delta", mogą zabierać na pokład 12-16 rakiet "woda-ziemia" o zbliżonych do wspomnianych powyżej parametrach bojowych.

Łącznie, rosyjskie nuklearne łodzie podwodne miały w końcu 1998 r. 386 rakiet "woda-ziemia" na swoich pokładach, z ilością 1.844 głowic (według niektórych źródeł na służbie było 37 nuklearnych łodzi podwodnych z 2.424 głowicami na pokładach). Moc wybuchowa tych głowic, przy *nizszym* wariacie, wynosiła ok. 430 megaton, co równa się 15 procent mocy wybuchowej strategicznego arsenału Rosji.

W produkcji znajduje się łódź podwodna nowej "generacji", "Jurij Dołgoruki", podobno *najnowocześniejsza* w świecie.

*T r z e c i a* "nogą" triady jest powietrzna, strategiczne lotnictwo, liczące ok. 3 tys. oficerów i żołnierzy.

Stanowią ją 74 bombowce dalekiego zasięgu, ze skrzydlatymi raketami "powietrze-ziemia" oraz bombami grawitacyjnymi na pokładzie (wśród nich 6, Tu-160, jest najnowszego typu).

Niezależnie od tych 74 bombowców strategicznych, 19 Tu-160 oraz 21 Tu-95 MS, stacjonowanych jest na Ukrainie, z niejasnym ich przeznaczeniem (według informacji z lipca 1999 r., mają one powrócić do Rosji).

Tu-160, odrzutowiec ponadźwiękowy, o operacyjnym zasięgu 7,3 tys., zabiera na pokład 6 bomb nuklearnych, sterowanych laserem, albo 12-16 rakiet "powietrze-ziemia".

TU-95 MS z kolei, turbo-tłokowy, ma zasięg ok. 6,5 tys. km, z podobnym do Tu-160 uzbrojeniem raketowym, aczkolwiek jego zdolność zabierania na pokład bomb laserowych nie jest pewna.

Moc wybuchowa każdej z przenoszonych przez te bombowce rakiet szacuje się na 0,4 megatony (niektóre z rakiet, albo już wszystkie, mają szybkość ponadźwiękową oraz zasięg do 3 tys. km.).

Ilość rakiet "powietrze-ziemia" szacowano na 802, o łącznej mocy wybuchowej 202 megaton, ekwiwalent ok. 8 procent rosyjskiego arsenału strategicznego.

Jak dalej potoczą się losy tej trzeciej "nogi" triady nie jest pewne, ale ostatnio, po kilkuletniej przerwie, Rosja wznowiła produkcję zmodernizowanych Tu-160.

Niezależnie od wojsk służących w poszczególnych "nogach" triady, pozostała ich ok. 30-tysięczna część zaangażowana jest w obsługę tzw. systemu wczesnego ostrzegania, łączności oraz systemów dowodzenia.

Rosja więc, nawet jeśli ilością w mniejszej skali niż b. ZSRR, pozostaje **nadal** supermocarstwem wojskowym, głównie ze względu na swój arsenał nuklearny (również jej konwencjonalny arsenał, jest nadal potężny, poza nawodnymi okrętami wojennymi i niektórymi typami samolotów, prawdopodobnie najpotężniejszy w świecie).

Dla świata, a szczególnie Polski, sąsiadującej z tym supermocarstwem, jest to **ostrzeżeniem** ze wszystkimi płynącymi stąd konsekwencjami. Pocięszanie się zaś, że trudności ekonomiczne Rosji nie pozwolą jej na utrzymanie statusu supermocarstwowego - należy zaliczyć do pobożnych życzeń.

**- U S A :** kolejne, albo pierwsze supermocarstwo, z ok. 12-15 tysiącami ładunków nuklearnych, z czego ok. 7,2 tys. jest strategicznymi.

Arsenał strategiczny USA, aczkolwiek w ogólnych zarysach **równy** rosyjskiemu, *różni się* od niego poważnie składem rzeczowym oraz organizacją (ta ostatnia różnica, w przypadku wspomnianej powyżej reorganizacji rosyj-



skich sił strategicznych, może być niewielka).

Siły nuklearne, w ich części strategicznej, mają oddzielne dowództwo, "US Strategic Command", w skrócie STRATCOM, Strategiczne Dowództwo Stanów Zjednoczonych, podlegające szefowi Sztabów Połączonych.

STRATCOM, formalnie jedno z 5-ciu "dowództw nuklearnych", jest *nadrzędne* w stosunku do pozostałych 4-ch, które zorganizowane są na zasadzie geograficznej (Europa, region Pacyfiku, obejmujący także część Azji, w tym Japonię, Koreę Południową, region Atlantyku, obejmujący Amerykę Północną i region karaibski, a wreszcie region Centralny, obejmujący Bliski i Środkowy Wschód, Azję Południowo-Wschodnią, łącznie z Morzem Czerwonym i na koniec Ocean Indyjski).

W USA, podobnie jak w Rosji, siły strategiczne zorganizowane są w *triadę*, ale operacyjnie, mimo istnienia rakiet międzykontynentalnych "ziemia-ziemia", wojska lądowe i piechota morska są z niej wyłączone i całość tych sił znajduje się w wojskach powietrznych oraz marynarce wojennej.

Stąd stan ilościowy amerykańskich sił strategicznych nie jest dokładnie znany, ale najprawdopodobniej zbliżony jest do rosyjskiego. Siły te zorganizowane są w 61 "jednostek" (w przypadku rakiet strategicznych "ziemia-ziemia" oraz lotnictwa strategicznego "jednostka" oznacza *dywizjon*, a przypadku marynarki wojennej *okręt*, z reguły nuklearną łódź podwodną).

*Pierwszą* z "nóg" triady jest powietrzna, składająca się z 21 nowoczesnych bombowców dalekiego zasięgu B-2, które zaczęły wchodzić do służby od 1994 r, a także z przestarzałych, ale ciągle unowocześnianych, 71 bombowców B-52H, pełniących służbę od 1961 r. (pierwsze B-52, starszych typów, weszły do służby w październiku 1952 r.)

B-52H, o operacyjnym zasięgu 8 tys. km, mają na swoich pokładach, w zależności od ich typu i misji bojowej, po 6-20 rakiet skrzydlatych "powietrze-ziemia", podczas gdy B-2, o zasięgu 7,5 tys., jedynie bomby naprowadzane na cel laserem przez satelity z orbity okołoziemskiej (samoloty te wzięły po raz pierwszy udział w akcjach bojowych przeciwko Jugosławii, odbywając bez lądowania, ale z tankowaniem w powietrzu, 32-godzinne loty ze stanu Missouri i zrzucając po 16 1-tonowych bomb każdy).

Powietrzna "noga" triady ma łącznie 1.750 ładunków nuklearnych o mocy wybuchowej 820 megaton, co stanowi ok. 45 procent mocy wybuchowej amerykańskiego arsenału nuklearnego.

W porównaniu do rosyjskiej powietrznej "nogi", licząc według megaton, jest ona zatem ponad 4-krotnie silniejsza.

*Drugą* "nogą" triady, choć pod względem ilości ładunków pierwszą, a mocy wybuchowej trzecią, z perspektywą na awansowanie do pierwszej,

jest morska. Aktualnie składa się z 18 nuklearnych łodzi podwodnych klasy "Ohio", każda o wyporności 16 tys. DWT, z 432 raketami "woda-ziemia", o łącznej ilości 3.456 głowic, z ich mocą wybuchową 490 megaton (łodzi "Ohio" mają po 24 10-głowicowych rakiet "woda-ziemia", o zbliżonych do rosyjskich parametrach bojowych).

Morska "noga" amerykańskiej triady pod względem ilości głowic znacznie przewyższa rosyjską, ale pod względem ich mocy wybuchowej przewaga jest niewielka.

*Trzecią* "nogą" amerykańskiej triady jest lądowa, z 550 wielogłowicowymi raketami "ziemia-ziemia", stanowiącymi integralną część sił powietrznych. Bazowane w umocnionych silosach, rakiety składają się z 500 3-głowicowych "Minuteman III" oraz 50 MX, "Peacekeeper", 10-cio głowicowych, najnowocześniejszych w "nodze" lądowej. Głowice tych pierwszych miały moc wybuchową w granicach 175-335 kiloton każda, podczas gdy tych drugich po 300-600 kiloton. Zasięg obu typów rakiet wynosi 11 tys. km.

Rakiety "ziemia-ziemia", o łącznej ilości 2.000 głowic, z mocą wybuchową 554 megaton, stanowią ok. 1/3 mocy niszczącej wszystkich "nóg" amerykańskiej triady, przewyższając pod tym względem "nogę" morską, ale ustępując powietrznej.

Przyszłość lądowej "nogi" *nie jest* jednak pewna, gdyż w zależności od rozwoju sytuacji może być ona wyeliminowana ze służby, co w efekcie triadę zamieniłoby w morsko-powietrzną *diadę*.

W porównaniu do rosyjskiej "nogi" lądowej triady, amerykańska posiada nie tylko mniej rakiet "ziemia-ziemia" oraz zainstalowanych na nich głowic, ale nade wszystko ma od niej niemal 4-krotnie mniejszą moc niszcząco-ścielską.

Ogólne porównanie arsenałów nuklearnych obu supermocarstw pod względem ich efektywności bojowej jest jednak **niemożliwe** i tak też zapewne pozostanie w najbliższej przyszłości. Rosja, co prawda, wliczając niestrategiczne ładunki, posiada arsenał nuklearny znacznie większy od USA, ale w strategicznych, zakładając wiarogodność danych, siły są z grubsza wyrównane, choć rosyjski arsenał, licząc w megatonach, jest o 2/3 *większy* od amerykańskiego.

W broni strategicznej **nie można** więc wskazać palcem na żadne z obu supermocarstw jako silniejsze od drugiego.

Najrozsądniejsze jest w tej sytuacji stwierdzenie, że istniejący "parytet strategiczny", czyli równowaga sił pomiędzy obu supermocarstwami, jest **nadal** aktualny, choć w ramach tej równowagi nastąpiły różnorodne przesunięcia ilościowe oraz jakościowe.

**- Chiny:** kraj ten jest aktualnie uważany za trzecie mocarstwo wojskowe i nuklearne świata, *jedyne* wśród liczących się krajów świata, które energicznie rozbudowuje swój potencjał wojenny, głównie raketowo-nuklearny.

Chiny mają 125-tysięczne "siły strategiczne", podzielone na "ofensywne" i "defensywne", z priorytetem tych pierwszych.

Posiadane przez Chiny ładunki nuklearne, z szacowaną ilością 400-450 (nie jest wykluczone, że jest ich więcej), z czego prawdopodobnie 250 stanowią strategiczne, podobnie jak w Rosji i USA, zorganizowane są w strategiczną triadę.

*Pierwszą* "nogą" w triadzie jest lądowa, składająca się z rakiet o zasięgu powyżej 3 tys. kilometrów, uważanych w Chinach za *strategiczne*, choć niezupełnie odpowiadają one tym kryteriom.

Lądowa "noga" triady, decydująca, składa się z następujących rakiet "ziemia-ziemia":

- z co najmniej 7 jednogłowicowych rakiet, zwanych w świecie CSS-4, o zasięgu ok. 13 tys. km. i o mocy wybuchowej głowicy w granicach 5 megaton (prowadzone są próby z wyposażeniem jej w wiele głowic, nawet 10);

- 20 jednogłowicowych rakiet CSS-3, o zasięgu 4.750 kilometrów oraz mocy wybuchowej głowicy 3,3 megatony;

- prowadzone są również próby, z pierwszą oficjalnie podaną 2 sierpnia 1999 r., z pojazdową, trójczłonową rakieta strategiczną na paliwie stałym DF-31, "Dongfeng" ("Wschodni Wiatr"), o zasięgu ok. 8 tys. km., na razie jednogłowicową, ale podobno z możliwością przystosowania jej do wielu głowic. Rakieta, którą publicznie pokazano 1 października 1999 r. w czasie defilady w Pekinie, wyposażona jest w 700-kilogramową głowicę, o przypuszczalnej mocy wybuchowej ok. 0,5 megatony.

Chiny mają ponadto całą plejadę półstrategicznych rakiet "ziemia-ziemia", przystosowanych do przenoszenia ładunków nuklearnych, a mianowicie:

- 50 jednogłowicowych rakiet CSS-2, o zasięgu 2,8 tys. km, z 3,3-megatonową mocą wybuchową każdej;

- 36 rakiet CSS-6, o zasięgu 1,8 tys. km, każda z mocą wybuchową 200-300 kiloton.

Próby z jednogłowicową rakieta pojazdową CSS-5, na paliwie stałym, o zasięgu ok. 2 tys. kilometrów, są również prowadzone.

Według niektórych źródeł, Chiny planują wyposażenie lądowej "nogi" swoich sił strategicznych w najbliższych latach w co najmniej 1.000 ładun-

ków nuklearnych, zainstalowanych głównie na raketach "ziemia-ziemia". Realizacja takich zamiarów jest tym bardziej prawdopodobna, że Chiny, niezależnie od rodzimych wysiłków w tej dziedzinie, negocjują z Rosją zakup licencji na produkcję, wspomnianej już w innym miejscu, 10-głowicowej rakiety SS-18.

Na dzień dzisiejszy jednakże, moc wybuchowa chińskiej "nogi" lądowej triady, licząc tylko rakiety o zasięgu powyżej 3 tys. km., waha się w granicach 100-tu, a z pozostałymi 180-190 megaton. Jest to moc już bardzo znaczna, ale *jakościowo* pozostawiająca jeszcze wiele do życzenia.

Pozostałe dwie "nogi" triady, aczkolwiek rozbudowywane, nie wydają się być na razie w zaawansowanym stanie (aczkolwiek ostatnie doniesienia przeczą temu).

*Drugą*, morską "nogą" triady, jest bowiem w swoim początkowym stadium rozwoju. Chiny zbudowały jedyną w swoim arsenale nuklearną łódź podwodną klasy "Xia", uważaną za strategiczną, o wyporności 8 tys. DWT (z jednym reaktorem, podczas gdy rosyjski "Tajfun" ma 4), która rozpoczęła służbę w 1982 r. Nie jest jednak pewne na ile jest ona udana, mimo że dalszych 6 tej klasy jest w budowie, co świadczyłoby, że po jej zmodernizowaniu, prototyp musiał być udany. Nie ma też pewności co do jej uzbrojenia w rakiety "woda-ziemia". Według niektórych informacji, łódź posiada 12 jednogłowicowych rakiet na pokładzie, o zasięgu 1,7 tys. km, z których każda ma moc wybuchową 200-300 kiloton. Możliwe jednak, że po przeprowadzeniu prób z wielogłowicową rakieta, aktualnie w toku, podobno 10-głowicową, o zasięgu 8 tys. kilometrów, na paliwie stałym, z mocą wybuchową głowic jak powyżej, łódź została w nie przezbrojona.

W takim przypadku, morską "nogą" triady miałyby maksymalną moc wybuchową 120 głowic rzędu 24-36 megaton.

*Trzecią* "nogą" triady, powietrzna, według niepełnych danych, składa się z dwóch rodzajów bombowców, 120 przestarzałych H-6, o zasięgu 3,1 tys. kilometrów, uzbrojonych w 120-360 nuklearnych bomb grawitacyjnych o nieznannej mocy wybuchowej; a także z 30 nieco nowszych bombowców o zasięgu 400 kilometrów, każdy z jedną bombą grawitacyjną na pokładzie o nieznannej mocy wybuchowej. Niemniej jednak, moc wybuchową powietrznej "nogi" chińskiej szacuje się na ok. 20 megaton, moc dużą co prawda, ale o małej skuteczności bojowej. Kiedy Chiny zwiększą skuteczność tej "nogi" - nie wiadomo. Aktualnie prowadzą próby z nowoczesnym i ponaddźwiękowym bombowcem dalekiego zasięgu własnej konstrukcji, uzbrojonym w rakiety skrzydlate "powietrze-ziemia", a ponadto kupują nowoczesne samoloty rosyjskie zdolne do przenoszenia broni nuklearnej, negocjując też

zakup licencji na produkcję niektórych ich typów, ale do radykalnego przełomu w tej dziedzinie jest jeszcze daleko.

Chiński arsenał strategiczny *ustępuje* zatem rosyjskiemu i amerykańskiemu w stopniu tak zasadniczym, że jest on tylko z trudem porównywalny z nimi. Celność chińskich, rakiet również daleko ustępuje rosyjskim i amerykańskim.

Z drugiej strony faktem jest, że potencjał ten **już** istnieje, jest rozbudowywany i modernizowany (USA posądzają Chiny o kradzież ich technologii do produkcji głowic neutronowych, najgroźniejszych w arsenałach nuklearnym świata. Chiny oskarżeniom zaprzeczają, ale jednocześnie potwierdzają opóźnienie produkcji broni neutronowej).

Moc wybuchowa chińskiego arsenału nuklearnego, szacowana na 200-300 megaton, daje mu już obecnie, wspomniany w innym miejscu, status *trzeciego* największego mocarstwa wojskowego w świecie.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa, miejsce to będzie **utrzymane** w przyszłości, z możliwością zmniejszania się różnic dzielących je od supermocarstw.

Wysiłki w tym kierunku, wspomagane przez Rosję, z którą Chiny od 1997 r. są w "strategicznym partnerstwie", a może nawet sojuszu, będą zapewne w tym pomocne.

W ciągu najbliższych 15-20 lat, Chiny, w konsekwencji tego, mogą stać się kolejnym **supermocarstwem** wojskowym w świecie. Chiński budżet wojskowy wzrasta bardzo szybko, w 1999 r. "tylko" o 12 procent, co potwierdza taką prognozę (po zbombardowaniu 7 maja 1999 r. ambasady chińskiej w Belgradzie przez amerykański B-2, sądząc z reakcji władz pekińskich, proces ten został przyspieszony).

Wpływ osiągnięcia przez Chiny statusu supermocarstwa na układ sił w świecie, zwłaszcza w sytuacji osi Moskwa-Pekin, nie trudno przewidzieć.

**- Francja:** czwarte mocarstwo wojskowe i nuklearne świata, ze "strategicznymi siłami nuklearnymi" liczącymi 8,7 tys. oficerów i żołnierzy, z czego 5 tysięcy służy w siłach morskich oraz 3,1 tysiąca w siłach powietrznych, z pozostałą częścią w służbach pomocniczych, po okresie wzmocnionych wysiłków w przeciwnym kierunku, staje się *schyłkowym* mocarstwem nuklearnym. Nie mając ambicji i środków do awansowania do statusu supermocarstwa, jak czynią to Chiny, Francja nie tylko nie rozbudowuje swojego arsenału nuklearnego, ale go **redukuje** stopniowo. W niedalekiej przeszłości, Francja posiadała 538 różnorodnych ładunków nuklearnych, ale aktualnie zeszła do poziomu 450-ciu, a w niedalekiej przyszłości zejdzie do 350-

400.

Na skutek tej polityki, Francja w ostatnich latach pozbyła się rakiet "ziemia-ziemia", czyli lądowej "nogi" triady, przechodząc na morsko-powietrzną diadę.

*Pierwsza*, morska "noga" diady, składa się z 64 rakiet "woda-ziemia".

Rakiety "woda-ziemia", o zasięgu ok. 6 tys. km., bazowane są na 4-ch strategicznych nuklearnych łodziach podwodnych francuskiej produkcji. Każda z tych rakiet jest 6-głowicowa. Starsze głowice, z 1985 r., których jest 288, mają moc wybuchową po 150 kiloton każda, podczas gdy nowsze, z 1994 r., w ilości 96, po 100 kiloton odpowiednio.

Francuska "noga" morska ma więc moc wybuchową 43,2 megaton.

*Druga* "noga" diady, powietrzna, składa się z dwóch "podnóg".

*Pierwsza "podnoga"*, składa się z 45 bombowców Mirage 2000N, bazowanych na lądzie, o zasięgu 2.750 km, z których każdy zabiera na pokład po jednej rakiecie skrzydlatej "powietrze-ziemia" o zasięgu, w zależności od jej typu, 300-500 kilometrów, z głowicą o mocy wybuchowej 300 kiloton.

*Druga "podnoga"* składa się z 24 samolotów bombardująco-myśliwskich Super Etendard, o zasięgu 650 km, bazowanych na lotniskowcu "Foch" (20 z tych samolotów ma po jednej rakiecie "powietrze-ziemia", identycznych jak w przypadku Mirage 2000N).

Moc wybuchowa francuskiej "nogi" powietrznej diady wynosi zatem 19,5 megaton.

Łącznie, moc wybuchowa strategicznego arsenału nuklearnego Francji waha się w granicach 63 megaton, czyli równa się w ok. 2,8 procentach oficjalnego arsenału rosyjskiego.

Nawet ten niewielki arsenał nuklearny Francji w porównaniu do supermocarstw, ze względu na jego nowoczesność jest jednak groźny dla **każdego** ewentualnego napastnika.

**- Anglia:** podobnie jak Francja, nie ma ambicji oraz środków do awansowania do statusu supermocarstwa.

Przeciwnie, stopniowo **redukuje** swój arsenał nuklearny. Jej siły strategiczne, liczące jedynie 1,9 tys. oficerów i marynarzy, nigdy nie zorganizowane w triadę, tworzyły do niedawna diadę, ale obecnie również i ona przestała istnieć, po wyeliminowaniu z niej "nogi" powietrznej.

Z 380 posiadanych do niedawna ładunków nuklearnych, głównie "woda-ziemia" oraz częściowo "powietrze-ziemia", w postaci lotniczych bomb gravitacyjnych, Anglia w 1998 r. zeszła do poziomu 32 rakiet "woda-ziemia", o



zasięgu 7,4 tys. kilometrów, bazowanych na 3-ch strategicznych nuklearnych łodziach podwodnych własnej produkcji. Rakiety, 10-głowicowe, są jednakże "niedoobronione" i stąd zamiast 320-tu posiadają jedynie ich połowę, 160 głowic, każda o mocy wbuchowej 100 kiloton.

Arsenał nuklearny Anglii zszedł, wobec tego, do poziomu 15 megaton, czyli 0,7 procent oficjalnego rosyjskiego, ale błędem byłoby lekceważyć go ze względu na jego wysokie parametry bojowe, nie mówiąc już o tym, że Anglia, poprzez bardzo szybkie doobronienie swoich rakiet "woda-ziemia" może ten arsenał podwoić.

**- Izrael:** kraj ten jest w świecie "nuklearną zagadką". Nie wiadomo bowiem ile ma ładunków nuklearnych, 100 czy 200, atomowych czy wodorowych, a wreszcie jakiego kalibru.

Wiadomo natomiast, że Izrael posiada zdolność przenoszenia ładunków nuklearnych na znaczną odległość.

W jednym przypadku są to ładunki, prawdopodobnie bomby grawitacyjne, bazowane na otrzymanych z USA samolotach F-15, które, w razie rajdu w jednym tylko kierunku, bez powracania na rodzime lotnisko, mogą razić cele w promieniu 5 tys. kilometrów, a w razie powracania w promieniu 2,5 tys. kilometrów. Samolotów tego typu Izrael miał w połowie 1998 r. 61 sztuk.

W drugim przypadku są to rakiety "ziemia-ziemia", Jericho-2B, o zasięgu 2,5 tys. kilometrów, aktualnie poddawane próbom, Jericho-2, o zasięgu 1,5 tys. km oraz Jericho-1, o zasięgu 500 km.

Ile Izrael ma tych rakiet - nie wiadomo.

Rzecz jasna, 5,5-milionowy Izrael, o powierzchni tylko nieco ponad 20 tys. km kwadratowych, produkcie krajowym brutto sięgającym ok. 100 mld. dolarów, z budżetem obronnym w wysokości tylko 11 mld. dol. oraz 175-tysięczną armią czynną - nie ma warunków na awansowanie do statusu supermocarstwa wojskowego. Natomiast "zwykłym" mocarstwem nuklearnym najprawdopodobniej jest już od lat. Jego arsenał nuklearny, jeśli wierzyć niepotwierdzonym danym, ustępuje daleko pod względem parametrów bojowych angielskiemu, nie mówiąc już o francuskim czy chińskim, ale jego rozmiary są znaczne. Biorąc zaś pod uwagę fakt, że żaden z krajów arabskich nie posiada broni nuklearnej, nawet niewielki arsenał nuklearny Izraela jest aż nadto wystarczający do celów odstraszenia czy operacyjnych.

Izrael ponadto, mając ściśle stosunki sojusznicze i wysoce uprzywilejowane z USA, skąd otrzymuje olbrzymią pomoc ekonomiczną i wojskową, wynoszącą z prywatnymi przekazami łącznie ok. 6 mld. dol. rocznie, nie mówiąc już o dostawach najnowszego sprzętu wojennego oraz wojskowej

myśli technicznej - może stać się w najbliższych latach, otwarcie lub nie, dużym mocarstwem nuklearnym. Tym bardziej, że jest w trakcie tworzenia *półstrategicznej* triady, gdzie obok lądowej i powietrznej ma pojawić się również "noga" morska. Stanowić ją mają trzy dieselowskie niemieckie łodzie podwodne klasy "Delfin" o wyporności 1,6 tys. DWT każda i zasięgu operacyjnym 4,5 tys. km, zdolnych do wzięcia na pokład rakiet skrzydlatych o krótszym i średnim zasięgu, wyposażonych w głowice nuklearne (łodzie, o wartości ok. 1 mld. dol., są darem Niemiec, z dwoma już dostarczonymi, z trzecią zaś latem 2000 r.).

**- Indie:** dopiero od maja 1998 r., po dokonaniu 5-ciu prób podziemnych z ładunkami nuklearnymi, w tym jednym na progu wodorowego, stały się autentycznym mocarstwem nuklearnym, choć nieformalnie były nim już od 1974 r.

Arsenał nuklearny Indii ocenia się na 80-100 ładunków, wyłącznie atomowych, ale jeśli opanowały produkcję broni wodorowej, to z posiadanego już "materiału bazowego" mogą uzyskać ok. 500 ładunków nuklearnych tego rodzaju, o wielokrotnie większej efektywności bojowej.

Indie są ponadto zaawansowane w środkach przenoszenia broni nuklearnej do bardziej oddalonych celów, gdyż te na krótszy dystans nie są już od lat problemem. Rakiety "ziemia-ziemia" własnej produkcji, Agni, których są 4 rodzaje, w klasie Agni IV mają już zasięg ok. 5 tys. kilometrów, a więc są na pograniczu rakiet strategicznych, międzykontynentalnych. Na razie jednogłowicowe, rakiety te są, według niektórych opinii, na najlepszej drodze do wielogłowicowych. Jaka jest zdolność produkcyjna Indii tych rakiet, jak też ilość już wyprodukowanych, zarówno klasy Agni II oraz Agni III, o zasięgu 2,5 tys. km. oraz 3,7 tys. km. odpowiednio - nie wiadomo. Należy jednak przypuszczać, iż ilość ich może być już obecnie znaczna oraz szybko zwiększać się w przyszłości. Kraj, aczkolwiek o przeciętnie niskich dochodach na głowę mieszkańca, o 1-miliardowej ludności, z krajowym produktem brutto szacowanym na ponad 1,5 bln. dolarów, licząc według siły nabywczej rupii, może zdobyć się na duży wysiłek obronny. Skoro już dziś Indie mają prawie 1,2-milionową armię oraz budżet obronny przekraczający 10 mld. dol., to w przyszłości wydatki ich na te cele mogą znacznie wzrosnąć. Mając ponadto silne zaplecze naukowo-techniczne oraz niezłe rozwinięty i miejscami nowoczesny przemysł, Indie za 25-50 lat, jeśli tylko przetrwają w obecnym wielowyznaniowym oraz wieloetnicznym państwie, mogą stać się **supermocarstwem** wojskowym.

Całkowicie niezależne, podejrzliwe wobec USA i NATO, w bliskich sto-

sunkach z Rosją oraz poprawiające swoje do niedawna napięte stosunki z Chinami, Indie mogą stać się w przyszłości krajem o **dużej** wadze w globalnym układzie sił. W przypadku zaś potwierdzenia się niektórych prognoz, że w świecie może powstać "wielki trójkąt" Moskwa-Pekin-New Delhi, jako przeciwwaga dla USA, NATO i Japonii - waga Indii może być tym większa.

**- Pakistan:** najmłodsze mocarstwo nuklearne, oficjalnie dopiero od maja 1998 r., po dokonaniu udanych prób z ładunkami atomowymi, ma bliżej nieznaną, podobnie jak Indie, arsenał nuklearny. Szacowany na 15-25 ładunków atomowych o nieznanym poziomie wybuchowej, może on powiększyć się z czasem, ale w jakim tempie i czy zamieni się w broń wodorową - jest sprawą dalece niepewną. Mając 135 mln mieszkańców i obszar ponad 803 tys. km kwadratowych, Pakistan ma formalnie nie mniejsze prawo od Anglii czy Francji, nie mówiąc już o Izraelu, być mocarstwem nuklearnym.

Pakistan jednak, z produktem krajowym brutto w wysokości jedynie ok. 300 mld. dol., licząc według siły nabywczej jego rupii, ma o wiele mniejsze od Indii możliwości dalszych postępów w "nuklearyzacji" swoich sił zbrojnych. Z budżetem obronnym w wysokości tylko ok. 3,3 mld. dolarów, z armią 600-tysięczną, zbyt wiele środków materialnych nie pozostaje mu więc na umacnianie ledwie co zdobytego statusu mocarstwa nuklearnego. Tym bardziej, że Indie, z którymi ma napięte stosunki, mogą zniszczyć niespodziewanym atakiem jego "nuklearną infrastrukturę".

Na pakistański arsenał nuklearny, pierwszy tego rodzaju w mahometańskim świecie, patrzy niechętnie również Izrael, a nawet USA, ze względu na ścisłą współpracę wojskową Islamabadu z Pekinem, a ostatnio także z Phenianem.

Są też pierwsze oznaki, że Pakistan zaczyna zbliżać się do Rosji, a nawet, mimo poważnych starć zbrojnych w Kaszmirze, także do Indii. Jeśli ten nowy trend w polityce Pakistanu umocni się, to jego potencjał nuklearny ma nie tylko szansę przetrwania, ale dalszego rozwoju, zwłaszcza jeśli niektóre kraje mahometańskie wsparłyby go finansowo. Z tego też powodu jego awans od mocarstwa atomowego do wodorowego wydaje się być jedynie kwestią czasu.

Pakistan wreszcie, jak na swoje możliwości, ma znaczne osiągnięcia w dziedzinie rozwoju środków przenoszenia ładunków nuklearnych. Niezależnie od przystosowywania do tego celu posiadanych amerykańskich samolotów F-16 oraz francuskich Mirage 1100, Pakistan zwiększa i unowocześnia rakiety "ziemia-ziemia" własnej konstrukcji. Rakiety, Ghauri II, o zasięgu 2,3 tys. km., są tego dopiero początkiem.

Z tego też powodu, ewentualne zniszczenie pakistańskiego potencjału nuklearnego może być ryzykowne, ze względu na jego możliwy odwet, w efekcie czego trzeba się liczyć z możliwością *utrzymania* przezeń zdobytego statusu mocarstwa nuklearnego.

**- Korea Północna:** czy kraj ten ma jakkolwiek arsenał nuklearny czy jest to jedynie hipoteza na przyszłość - nie jest absolutnie pewne. Pewne jest natomiast, że możliwości techniczne wyprodukowania broni nuklearnej posiada, dzięki reaktorom dostarczonym w przeszłości przez ZSRR oraz o wiele większym własnej konstrukcji. W rezultacie 5-stronnego porozumienia z USA, Koreą Południową, Japonią oraz Unią Europejską z 1994 r., program budowy arsenалу nuklearnego Korea Północna miała jakoby wstrzymać, w zamian za budowę na jej terytorium, kosztem 5 mld. dolarów, elektrowni atomowej, z reaktorami pod kontrolą międzynarodową. Realizacja porozumienia natrafia jednak na przeszkody i są podejrzenia, iż Korea Północna podjętych zobowiązań nie dotrzymuje. Dokonuje też olbrzymiego postępu w produkcji własnej konstrukcji (albo w ramach utajnionej współpracy z Rosją lub Chinami) rakiet "ziemia-ziemia", zdolnych do przenoszenia ładunków nuklearnych. Rakiety Taepodong I, a jeszcze bardziej Taepodong II, osiągnęły już prawdopodobnie poziom *rakiet strategicznych* (zasięg tej drugiej szacowany jest na ok. 6 tys. km). Bez posiadania ładunków nuklearnych rakiety tej klasy mają *niewielki* sens, chyba że byłyby uzbrojone w głowice chemiczne lub biologiczne (uważa się, że w górach, w pobliżu granicy z Chinami, Korea Północna instaluje nową, 10-rakietową bazę Taepodong II, niezależnie od 10-ciu baz naziemnych w innych miejscach kraju oraz 3-ch podziemnych)

Jeśli to wszystko jest prawdą, to Korea Północna mogła już opanować produkcję broni nuklearnej i obecnie jest w trakcie jej operacyjno-strategicznego rozmieszczania albo jest na progu tego etapu.

Jak potoczą się sprawy dalej, gdyż USA rozważają zaatakowanie północno-koreańskiego "kompleksu nuklearno-rakietowego" - jest sprawą trudną do przewidzenia (zwłaszcza, że we wrześniu 1999 r. zaświtała znów nadzieja na polepszenie się stosunków Waszyngton-Phenian).

Wydaje się jednak, że należy serio liczyć się z możliwością *awansowania* Korei Północnej do "nuklearnego klubu". W przypadku zaś cichego, ale zdecydowanego wsparcia ze strony Rosji oraz Chin dla jej wysiłków nuklearnych, awans ten jest tym bardziej możliwy.

Jak to staje się widoczne z przytoczonych powyżej przykładów, "cień

nuklearny” w świecie jest długi i wydłuża się nieustannie. W określonych okolicznościach, cień ten może wydłużyć się jeszcze bardziej, z “nuklearnym klubem” obejmującym coraz to nowe kraje.

Taki właśnie rozwój sytuacji przewidywał dziesiątki lat temu Julius R. Oppenheimer, fizyk i kierownik “Manhattan”, programu tworzącego amerykańską bombę atomową, później zdecydowany przeciwnik zbudowania bomby wodorowej.

Głosem ostrzeżenia nikt jednak wtedy nie słuchał i “duszek nuklearny” poszybował w świat, a co z tego wyniknie - tego nikt nie wie.

#### 4. Niepewność jutra.

##### *A. W matni.*

Ludzkość, wskutek różnych okoliczności, częściowo wspomnianych powyżej, wmanewrowała się w sytuację, która wydaje się bez wyjścia. O ile prawdą jest, że od chwili narodzin broni nuklearnej w lipcu 1945 r. wojny z masowym jej zastosowaniem nie było, gdyż dwie niewielkie bomby atomowe zrzucone na Hiroszimę i Nagasaki do takiej wojny zaliczyć nie można, to prawdą jest również, że świat był *parokrotnie* na jej krawędzi. USA, przynajmniej przy 6-ciu różnych okazjach, rozważały sięgnięcie do broni nuklearnej, a mianowicie w momencie sowieckiej blokady Berlina, w czasie wojny koreańskiej, dwukrotnie w Wietnamie, w 1954 r., dla ratowania Francuzów pod Dienbienphu i drugi raz w czasie własnej interwencji zbrojnej w 1967 r., w czasie kryzysu w Cieśninie Tajwańskiej w 1959 r. oraz w czasie kryzysu kubańskiego w 1962 r.

W 1960 r. ponadto, USA były bliskie alarmu strategicznego, z powodu pomyłki radarowej (wschód księżycy wzięto za sowieckie rakiety w locie), a w czasie wojny izraelsko-arabskiej w październiku 1973 r., doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego Henry Kissinger, po pogrożkach sowieckich pod adresem Izraela, zarządził alarm sił strategicznych, a więc nuklearnych.

Co zaś działo się w ZSRR, a po jego rozpadzie w Rosji, jest już zupełnie zagadką. ZSRR był podobno bliski alarmu w strategicznych siłach 23 września 1983 r., na skutek defektu w satelitarnym systemie wczesnego ostrzegania. Rosja zaś, 25 stycznia 1995 r., w czasie próby z norweską rakieta meteorologiczną, była podobno tylko 5 minut od rozkazu do rozpoczęcia ataku nuklearnego przeciwko USA (powodem miało być nie poinformowanie jej o próbie rakiety, aczkolwiek Norwegia twierdziła, że informację dostarczyła

na czas. Rakieta, zbaczając z kursu i szybując w kierunku Rosji, podniosła tam alarm, na szczęście na krótko, gdyż wpadła do morza i alarm odwołano).

Powyższe przykłady, zapewne tylko częściowo ujawnione, świadczą dobitnie, że *dopóki* istnieć będzie broń nuklearna, wspomagana innymi rodzajami broni masowej zagłady, *dopóty* egzystencja ludzkości **pozostanie** na jej łasce.

Co jednakże ludzkość może zrobić w istniejącej sytuacji, żeby nie być *na łasce i niełasce* broni nuklearnej oraz innych broni masowej zagłady?

Prawdę mówiąc - niewiele. O wojnach decydowali zawsze monarchowie i wodzowie albo różni inni przywódcy oraz tzw. koła kierownicze państw, ale nigdy masy ludzkie!

Od tych **pierwszych** więc zależy jaki los czeka ludzkość.

Prezydent Kennedy - przypominając to jeszcze raz - ogłaszając swoją “*superdoktrynę*” (Kennedy Criterion), słusznie postulował, żeby USA, mając nawet przewagę strategiczną, kategorycznie **unikaly** wojny nuklearnej ze względu na możliwość poniesienia “*strat nie do zaakceptowania*”.

I tak **powinni** myśleć wszyscy inni przywódcy krajów, które decydują o losach ludzkości, dziś *bardziej* niż kiedykolwiek przedtem ze względu na olbrzymi postęp w dziedzinie broni masowego rażenia, jaki został dokonany od tamtych czasów oraz wydłużającą się ciągle listę jej posiadaczy.

Wyścig zbrojeń, strategicznych zwłaszcza, jak uczy historia “zimnej wojny”, nie rozstrzygnął **niczego** i tak najprawdopodobniej będzie również w przyszłości.

Szkoda tylko, że przywódcy wielu krajów, supermocarstw i mocarstw wojskowych w pierwszym rzędzie, jakoś **nie rozumieją** tego, co nie może nie budzić głębokiego niepokoju. Zamiast bowiem promyka nadziei po ogłoszeniu końca “zimnej wojny” na szansę wydostania się wreszcie ludzkości z matni, w jaką została przez nią wepchnięta, na horyzoncie gromadzą się znów *groźne* chmury, zwiastujące nadciąganie **nowej** burzy.

##### *B. Nowa burza.*

Koniec “zimnej wojny”, obwieszczany na prawo i lewo, od strony wojskowej, najważniejszej, jest co najmniej *nieprzekonujący* ze względu na **niepokojący** jej remanent - stan nuklearnych arsenałów w świecie.

Pod nieobecność choćby *werbalnej* gotowości mocarstw nuklearnych do pozbycia się broni nuklearnej ze swoich arsenałów, ludzkości nie pozostaje nic innego jak obserwować czy przynajmniej ulega ona *kontrolowanej redukcji*, która kiedyś może doprowadzi do jej całkowitej eliminacji.



Stąd tak bardzo jest istotne śledzenie za doświadczeniami dwóch supermocarstw wojskowych, USA i ZSRR, dziś Rosji, które już od ponad 30 lat negocjują różne *kontrolowane ograniczenia i redukcje zbrojeń strategicznych*. Z dość *podejrzany* rezultatem - należy dodać. Nigdy bowiem nie było i nadal nie ma pewności co one faktycznie wynegocjowały między sobą. Czy aby ich rezultaty nie były *normalnym* biegiem rzeczy, który i tak dokonałby się bez jakichkolwiek negocjacji? Wiadomo przecież, że wzajemnie czynione sobie koncesje wynikały z decyzji nie mających *nic* wspólnego ze świadczeniem sobie różnych koncesji. Przesztażałe rakiety na przykład, które miały odejść "ze służby" tak czy owak, zgadzano się poświęcić w imię rzekomo "dobrej woli" osiągnięcia porozumienia. Wynik negocjacji bardziej więc przypominał gorszą czy lepszą fotografię *istniejącego* stanu rzeczy niż tego, który *chcianoby* osiągnąć, a ponieważ negocjujące strony chciały *przechytrzyć* jedna drugą, a *nie* wybawić ludzkość od niebezpieczeństwa nuklearnego holokaustu - tym bardziej cała sprawa zasługuje na baczną uwagę.

W czasie negocjacji, co gorsza, zwłaszcza w przypadku ZSRR, a obecnie Rosji (o czym już wspomniano powyżej), nie było pewności *jaki* był właściwie prawdziwy stan zbrojeń strategicznych. Obserwowanie go z orbity okołozemskiej przez satelity szpiegowskie czy ocenianie na wszelkie inne sposoby, było z pewnością *dalekie* od prawdy, zwłaszcza że weryfikacja posiadanych informacji praktycznie nie miała miejsca, jeśli nie liczyć propagandowo-dezinformujących jednostronnych oświadczeń uczestników negocjacji.

Omawiane negocjacje, sprawa *nie bez* znaczenia, dotyczyły wyłącznie, jak dotąd, USA i Rosji (dawniej ZSRR), a przecież "nuklearny klub" ma znacznie *więcej* członków.

Nie sięgając już dalszej przeszłości, częściowo poruszonej w poprzednim rozdziale, dla ilustracji tej sytuacji należy posłużyć się najnowszymi doświadczeniami. Po 8-10 latach od końca "zimnej wojny" nagromadziło się ich bowiem sporo, jak na przykład porozumienia START I oraz START II (x)///.

---

(x)///. w polskim tłumaczeniu, z Nową Encyklopedią Powszechną PWN z 1996 r. włącznie, skróty "START" i "SALT" (p. rozdział III) są często niedokładnie podawane. Ostatnia litera, "T", istotnie oznacza "Talks", "Rozmowy", ale po podpisaniu tych porozumień, a wszystkie cztery były podpisane, litera "T" oznacza odąd "Treaty", "Układ" lub "Traktat". Stąd pełna nazwa START I brzmi: Treaty on the Reduction and Limitation of Strategic Offensive Arms, podczas gdy START II: Treaty on Further Reduction and Limita-

tion of Strategic Offensive Arms (po polsku odpowiednio Układ o Redukcji i Ograniczeniu Ofensywnych Broni Strategicznych w pierwszym przypadku i w drugim identycznie, ale z dodatkiem, po słowie Układ, słowa Dalszej (Redukcji). Pełna nazwa SALT z kolei, w obu wypadkach identyczna, brzmi: Treaty on the Limitation of Strategic Offensive Arms (Układ o Ograniczeniu Strategicznych Broni Ofensywnych)///.

---

### START I.

W dniu 31 lipca 1991 r. w czasie moskiewskiego szczytu Bush-Gorbaczow zostało podpisane porozumienie START I, a więc tuż przed końcem "zimnej wojny" albo już wkrótce po jej zakończeniu, w zależności od tego którą ze wspomnianych w innym miejscu dat uznawać za jej koniec.

Porozumienie, nie tak jak SALT I i SALT II z lat 1970-ch, ograniczających jedynie dalszy wzrost zbrojeń strategicznych, pomijając już na ile skutecznie, START I, po raz *pierwszy* w historii amerykańsko-sowieckich negocjacji w tej dziedzinie, miał na celu *redukcję* istniejących poziomów tych zbrojeń. Inicjatywa porozumienia, po wstępnych "odzywkach", wyszła ze strony USA wiosną 1986 r., owocując po serii wyęczonych negocjacji moskiewskim porozumieniem. ZSRR przeżywał już wtedy ostatnie miesiące swojego istnienia, czego USA w najmniejszym stopniu nie przewidywały, wyrazem czego był 7-letni okres realizacji porozumienia.

Idea przewodnią porozumienia ze strony USA było *zredukowanie* wzajemnego poziomu zbrojeń strategicznych nie tylko dlatego, że po obu stronach wykazywał on *ofensywny* charakter. USA nie bardzo też wiedziały *jak* wielki był naprawdę poziom sowiecki w tej dziedzinie. We wrześniu 1990 r., a więc prawie w rok po końcu "zimnej wojny", jeśli listopad 1989 r. uznać za jej koniec, poziom ten szacowano na 10.271 głowic strategicznych, z czego 6.612 przypadało na rakiety międzykontynentalne "ziemia-ziemia", których ilość z kolei szacowano na 1.398 (szacunki, należy wyjaśnić, oparte były na obserwacji terytorium ZSRR przez amerykańskie satelity i stąd nie jest wykluczone, że *nie wszystko* mogły one wypatrzyć). USA, mając 1.000 porównywalnych rakiet "ziemia-ziemia", uzbrojonych jedynie w 2.450 głowic, w dodatku mniejszego kalibru, uważały sowieckie rakiety "ziemia-ziemia" za *najbardziej* groźne, "*destabilizujące*", jak to określano. Dotyczyło to zwłaszcza 308 "superciężkich" SS-18, z których każda, oficjalnie, miała być uzbrojona w 10 głowic, ale podobno maksymalna ich ilość mogła wynieść nawet 24 głowice.

USA tak ciężkich rakiet i w takich ilościach nie posiadały, a jeszcze mniej

korzystny stosunek istniał w ilości głowic. Stąd ich dążeniem była zarówno eliminacja "super-ciężkich", 220-tonowych sowieckich rakiet SS-18 oraz zamiana pozostałych rakiet "ziemia-ziemia" z wielogłowicowych na jednogłowicowe. Ponadto, USA w ogóle przewidywały wówczas, że ZSRR w połowie lat 1990-ch dojdzie do poziomu 15 tys. głowic strategicznych.

Propozycja USA poszła więc w kierunku zejścia poziomów strategicznych obu mocarstw do 6 tys. głowic po każdej stronie, co ZSRR zaakceptował.

START I, prawdę mówiąc, aczkolwiek formalnie ogromny krok naprzód, gdyż w jego wyniku poziom broni strategicznych miał zostać zredukowany o ok. 40 procent, był z wielu względów daleki od tego, czego ludzkość miała prawo spodziewać się od końca "zimnej wojny".

Porozumienie, nie tak jak INF z grudnia 1987 r., w wyniku którego nastąpiła eliminacja całej klasy rakiet, średniego i krótszego zasięgu, tym razem żadnej eliminacji jakichkolwiek rakiet nie przewidywało. Nie objęło też bomb nuklearnych, a nade wszystko rakiet skrzydlatych, których rosnące ilości i coraz lepszych posiadały oba supermocarstwa. Rakiety te, wystrzeliwane zwłaszcza z jednostek pływających, z maksymalnym zasięgiem, w przypadku amerykańskich, do 2,7 tys. km., podczas gdy sowieckich do 3-3,5 tys. km., w razie konieczności uzbrojonych w 5-175-kilotonowe głowice nuklearne, w maksymalnym wariacie o 11-krotnie większej sile wybuchowej od "bomby hiroszimskiej", są strategiczną bronią w rzeczywistości.

Poza tym, porozumienie nie przewiduje ani niszczenia "zdejmowanych" w jego wyniku rakiet ani tym bardziej ich nuklearnych głowic. Wiele też do życzenia pozostawiała weryfikacja jego wykonania.

Na tym nie koniec. Ledwie bowiem START I został podpisany, a już w kilka miesięcy potem ZSRR ... rozpadł się! Czy z tego powodu właśnie czy innego jest już mniej ważne, ale natychmiast po tym wydarzeniu wystąpiły komplikacje z wprowadzeniem w życie porozumienia. Na miejscu ZSRR pojawiły się bowiem aż 4 mocarstwa nuklearne: Rosja, Ukraina, Kazachstan oraz Białoruś. Rosja, po tym jak Senat USA ratyfikował porozumienie w październiku 1992 r., ratyfikowała go w listopadzie tegoż roku, co prawda, ale jego wykonanie uzależniła od ratyfikacji go również przez pozostałą trójkę "państw", jak też przystąpieniu ich do NPT, wspomnianego już w innym miejscu tzw. układu o nieprolifracji. Wymóg ten spełniły Białoruś i Kazachstan, podczas gdy Ukraina ociągała się, czyniąc to dopiero w 1994 r. Komplikacje te spowodowały przedłużenie się procesu wejścia w życie START I do 5 grudnia 1994 r., a tym samym wydłużył się okres jego realizacji. Komplikacje z b. ZSRR nie skończyły się na tym. Z Rosją, która uznając się za jego spad-

kobiercę zapowiadała wykonanie zobowiązań z tytułu porozumienia, nie było kłopotów, ale pozostałe 3 kraje zaczęły "kręcić" i choć USA tzw. porozumieniem lizbońskim z maja 1992 r. sprawę rozwiązały, to jednak nie jest pewne na ile jest to prawdą. Z Kazachstanu b. sowieckie rakiety jakoby zniknęły, najpierw głowice nuklearne w maju 1995 r., które wywieziono do Rosji, potem miano zniszczyć także rakiety i silosy. Z Ukrainy głowice wywieziono w czerwcu 1996 r., ale z "resztówką" 55 rakiet i 44 bombowców strategicznych sprawa nie jest jasna, podczas gdy z Białorusi 54 pojazdy rakiety SS-25, jak to podano, odjechały w grudniu 1996 r. do Rosji.

Wszystkie te zabiegi, jak też przeprowadzona przez USA i Rosję redukcja w broniach strategicznych, wyglądają na to, że strony wykonały postanowienia START I. W siedem lat od jego podpisaniu bowiem, w lipcu 1998 r., ilość głowic strategicznych w Rosji wynosiła 6.696, podczas gdy w USA 7.636, z perspektywą dojścia do poziomu 6 tys. głowic po każdej stronie w grudniu 2001 r., jeśli tylko coś nie stanie temu na przeszkodzie.

Szczególnie głęboki spadek dotyczył rakiet "ziemia-ziemia", w Rosji do poziomu 756, podczas gdy w USA do 550 odpowiednio. Ilość głowic zainstalowanych na tych rakietach w Rosji spadła do poziomu 3.852, podczas gdy w USA do 2.000 głowic odpowiednio.

Czy w rzeczywistości tak jest istotnie, zwłaszcza po rosyjskiej stronie - nie wiadomo.

## START II.

Zanim START I zdążył wejść w życie, podpisano 3 stycznia 1993 r., w czasie moskiewskiego szczytu Bush-Jelcyn, kolejne porozumienie - START II. Tym razem USA podpisywały go nie z ZSRR, który już nie istniał, a z Rosją, zwaną również Federacją Rosyjską.

Pytanie czy Bush musiał podpisywać tak ważne porozumienie na dwa tygodnie przed odejściem ze swojego prezydenckiego urzędu, po tym jak przegrał wybory, jest sprawą drugorzędną, gdyż pierwszorzędną był fakt, że rozpoczęty jeszcze za "sowieckich czasów" proces redukcji zbrojeń strategicznych, wydawał się być kontynuowany.

Rzeczywistość, niestety, jest bardziej złożona.

START II bowiem, przewidujący redukcję broni strategicznych do poziomu 3.0-3,5 tys. głowic nuklearnych po każdej stronie, a więc redukcję o ok. 70 procent w porównaniu do poziomu ze szczytu "zimnej wojny", z jednej strony czyni wrażenie olbrzymiego postępu, ale z drugiej jest faktycznie powrotem do stanu z lat 1965-1975. Już wtedy był to poziom przerażająco

wielki, zagrażający istnieniu ludzkości, a dziś, przy olbrzymim skoku jakościowym broni strategicznej w międzyczasie, jest on **jeszcze bardziej** przerażający. Precyzja rażenia bronią strategiczną wzrosła niepomniernie, a ponadto wzrosła również siła rażenia współczesnych głowic, obecnie zapewne głównie *neutronowych*, które są szczególnie zabójcze dla człowieka.

Jak na czasy "*pozimnowojenne*" więc, jak również na *kraje demokratyczne*, gdyż Rosję uważa się na Zachodzie za demokrację - sygnatariusze START II **nie mają** się czym chwalić. Tym bardziej, że porozumienie, z 10-letnim okresem realizacji, popadło w tarapaty już na samym początku, bez porównania *poważniejsze* niż w przypadku jego poprzednika, START I.

Ratyfikacja START II, podobnie jak poprzednio START I, zaczęła się przeciągać. Przez dwa lata prezydent Clinton, który go nie negocjował i podpisywał, ociągał się z jego przesłaniem do Senatu dla ratyfikacji. Potem, z ratyfikacją ociągał się Senat, a gdy wreszcie uczynił to 26 stycznia 1996 r., to dla odmiany rosyjska Duma, której Jelcyń przedłożył porozumienie do ratyfikacji dopiero 21 stycznia 1995 r., zaczęła ją odkładać, przerywając nawet debatę nad nią po tym jak w sierpniu tegoż roku USA zaczęły bombardować bośniackich Serbów. W pojęciu większości jej członków porozumienie jest w ogóle *niekorzystne* dla Rosji, a w dodatku rozszerzanie się NATO na wschód *nie sprzyja* ratyfikacji porozumienia. W końcu Duma powróciła do ratyfikacji, ale w proteście na naloty USA przeciwko Irakowi, debaty nad nią znów zawiesiła 18 grudnia 1998 r. Wznawiając je 22 marca 1999 r., w dwa dni potem je zawiesiła *bezterminowo* po tym jak USA i NATO zaczęły bombardować Jugosławię. W końcu września 1999 r. szanse na wznowienie ratyfikacyjnych debat przez obecną Dumę, w związku z wyborami do niej 19 grudnia, są żadne.

Strony, żeby jakoś zachować twarz w międzyczasie, podpisały 26 września 1997 r. dodatkowy Protokół do jednostronnie ratyfikowanego porozumienia, przedłużając jego ważność do 2007 r.

W najlepszym więc przypadku, cała sprawa *już* uległa znacznemu opóźnieniu. W najgorszym zaś może *nigdy* nie doczekać się wejścia w życie. Tym bardziej, że Senat USA grozi z kolei, że dalsza zwłoka z rosyjską ratyfikacją zmusi go do odwołania swojej.

Na dobitkę, komplikacje pojawiły się jeszcze z innego powodu, będąc najprawdopodobniej zapowiedzią **pogorszenia** się w ogóle stosunków amerykańsko-rosyjskich.

Chodzi o *obronę antyrakietową*, ABM (x), wspomnianą w poprzednim rozdziale.

USA, nie wchodząc w wiele szczegółów tego wyjątkowo złożonego problemu, od paru lat mówią o tej obronie coraz częściej, aczkolwiek nie jed-

nym głosem. Większość republikańska w Kongresie jest *za przekreśleniem* 27-letniego układu, jako przeżytku "*zimnej wojny*", podczas gdy demokratyczna Administracja skłonna jest negocjować z Rosją na temat *etapowej modyfikacji* ABM, niż przekreślać go całkowicie.

Zarówno Kongres jak i Administracja są jednak zgodne co do tego, że wraz z rozwojem techniki raketowej oraz rozprzestrzenianiem się broni masowej zagłady w świecie, USA *nie mogą* pozwolić sobie na bezbronność w obliczu ataku na swoje terytorium przez jakieś "*łotrowskie kraje*" (rogue states), jak na przykład Iran, Irak, Korea Północna czy Libia, albo nawet międzynarodowe organizacje terrorystyczne, które już wkrótce mogą rozporządzać takimi możliwościami. W celu zapobieżenia temu, USA chcą mieć jakąś *niewielką* obronę antyrakietową, może już za 5 lat, prowadząc próby z

---

(x) pełna nazwa porozumienia brzmi: Treaty on the Limitation of Anti-Ballistic Missile Systems (Układ o Ograniczeniu Anty-Balistycznych Systemów Raketowych).

---

"antyrakietami" z mieszanymi rezultatami i baczny ich śledzeniu przez Rosję.

Nie oponuje ona próbom, w których "antyrakiety" nie przekraczają szybkości 3,5 km. na sekundę, gdyż do zniszczenia głowicy strategicznej potrzebna jest szybkość 5,5 km, ale zdecydowanie *oponuje* zamiarom USA podważenia ABM, dopatrując się w tym powrocie do reaganowskiej "*Wojny Gwiazdowej*" z 1983 r., z czasów szczytu "*zimnej wojny*".

Komplikacje biorą się także stąd, że USA chciałyby w I etapie omawianej obrony zainstalować na Alasce 100 "antyrakiet", podnosząc następnie ich ilość do 200. Niezależnie od tego, bliżej nieznana ich ilość mogłaby być zainstalowana na okrętach wojennych oraz prawdopodobnie na pokładach samolotów i sztucznych satelitów.

Spór więc trwa, tak jak próby z "antyrakietami", a czym się to skończy - nikt nie wie.

Rosja, która *nie wierzy* w podawaną przez USA argumentację, zwłaszcza że "antyrakiety" miałyby być instalowane na Alasce, nad którą przelatywałyby rosyjskie głowice na wypadek wojny - grozi daleko idącymi konsekwencjami na wypadek naruszenia ABM. Grozi nie tylko ostatecznym pogrzebaniem ratyfikacji START II, ale także *wycofaniem* się ze START I.

Jak na czasy "*pozimnowojenne*", spór ma niewątpliwie **złowieszczy** wydźwięk.

USA, nie ukrywając swojego zdziwienia, że Rosja, po zakończeniu "*zim-*



nej wojny” chce *nadal* utrzymać “równowagę nuklearnego terroru”, nie chcąc z drugiej strony jej antagonizować, wychodzą pod jej adresem z nowymi propozycjami.

Do nich należy *przyspieszenie* zawarcia nowego porozumienia, START III, które dawniej było uzależnione od wykonania, a przynajmniej obustronnego ratyfikowania, START II.

W myśl wstępnych założeń START III, ilość głowic strategicznych *spadłaby* do 2-2,5 tys. po każdej stronie, tym razem z *zaostrzoną* weryfikacją wykonywania jego postanowień. Dla dalszego “zmiękczenia” opozycji Rosji wobec rewizji ABM, USA proponują nie tylko “przeskoczenie” START II, ale także dokonanie jeszcze *głębszej* redukcji głowic strategicznych, do poziomu 1,5 tys., niż to początkowo zakładano.

Rozmowy amerykańsko-rosyjskie, na szczęblu ministrów obrony, jak i niemal równoległe na szczęblu wiceministrów spraw zagranicznych, odbyte w Moskwie we wrześniu 1999 r., nie dokonały jednak najmniejszego wyłomu w rosyjskim “*Niet!*” i według wszelkich oznak **niczego** nie dokonają w przyszłości., bez względu na ich szczebel. Stanowisko Rosji jest tym bardziej zastanawiające, że według wszelkiego prawdopodobieństwa, jak to już wspomniano w innym miejscu, Rosja *rozporządza* “antyrakietową obroną”. Ponieważ do tego nie przyznaje się ani nie można jej nic udowodnić, więc cała sprawa nabiera posmaku jakby celowego **zaostrzenia** wzajemnych stosunków. Problemem jest tylko *kto* jest tutaj głównym winowajcą, gdyż każda ze stron podejrzewa drugą o nieprzyjazne zamiary.

Spór tymczasem trwa i w przypadku jego nie rozwiązania, a co gorsza jego zaostrzenia się, co jest wysoce prawdopodobne, ludzkość **nie tylko** nie pozbędzie się “*długiego cienia nuklearnego*”, towarzyszącego jej od dziesięcioleci, ale powtórnie może stanąć w obliczu nowej “zimnej wojny”, w każdej chwili grożącej przerodzeniem się w III wojnę światową.

Obecny stan niepewności nie może trwać zbyt długo. Wcześniej czy później ludzkość dowie się czy jej nadzieje “na lepsze czasy” mają szanse ziszczenia się czy spotka ją kolejny zawód.

## 5. Polska w “zbrojnym świecie”.

### A. Niemocarstwowa Polska.

W świetle przytoczonych powyżej cyfr i faktów jest oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że Polska żyje w “zbrojnym świecie”, który, jak to wynika z tytułu rozdziału, jest także “groźnym światem”, ale ten będzie przed-

miotem rozważań w następnym rozdziale.

“Zbrojny świat”, w którym Polska żyje, to przede wszystkim mocarstwa nuklearne, połowa ludzkości, z dwoma supermocarstwami, USA i Rosją, albo odwrotnie, z Chinami w kolejce do tego miana, na czele.

Jak na tle tego “zbrojnego świata” wygląda Polska - nie wymaga chyba szerszego komentarza. Ze swoim budżetem obronnym, rzędu 3-3,5 mld. dol., Polska **nie może** być mocarstwem. W swoim położeniu geograficznym zresztą, nie byłaby nawet z *10-krotnie* większym budżetem obronnym, jeśli nie będzie jednocześnie mocarstwem nuklearnym albo co najmniej biologiczno-chemicznym.

Polska, choć zaliczana jest do krajów z *potencjalnymi* możliwościami stania się mocarstwem nuklearnym, mocarstwem takim, ani nawet konwencjonalnym, już **nie będzie** w najbliższej przyszłości, a rozprawianie o dalszej mija się z celem.

Nie jest to w polskiej historii, prawdę mówiąc, żadna rewelacja. Przez ostatnie stulecie istnienia I Rzeczypospolitej, XVIII wiek, państwo polskie mocarstwem nie było. Nie była nim, mimo pokrzykiwań o mocarstwowości, również II Rzeczypospolita, jak to wykazał Wrzesień 1939 r.

Mimo przechwałek o “*10-tej potędze przemysłowej*” w świecie, podobnie było z PRL, która żadnym mocarstwem nie była.

Sytuacja powtarza się z III RP/PRL-bis, która jest nawet relatywnie i bezwzględnie mniej “mocarstwowa” niż jej poprzedniczki. Paradoksalnie, Polska była *większym* mocarstwem w czasach swojej półniepodległości i półsuwerenności, jak to było z Księstwem Warszawskim oraz Królestwem Kongresowym niż w XVIII i XX wieku.

Mocarstwowość wojskowa, gdyż o nią chodzi, to w dzisiejszych czasach posiadanie *broni masowej zagłady*, zwłaszcza *nuklearnej*.

Broni tej Polska **nie ma** (nie licząc jakichś resztek chemicznej) i już najprawdopodobniej mieć nie będzie w dającej się przewidzieć przyszłości. Nie tylko zresztą dlatego, że jest sygnatariuszem odpowiednich porozumień międzynarodowych, które formalnie **zamykają** jej drogę do posiadania broni masowej zagłady.

Największą bowiem przeszkodą jest **brak** odpowiednich środków, czasu i kadr, które mogłyby zmienić istniejącą sytuację.

Nie mniejszą mógłby być też **sprzeciw** niektórych wielkich mocarstw wobec polskich prób wejścia w posiadanie broni masowej zagłady, nuklearnej w pierwszym rzędzie.

W czasach PRL sprzeciw był ze strony ZSRR, aczkolwiek ona sama też **nie** nigdy z propozycjami stania się mocarstwem nuklearnym nie wychodziła,

wiedząc doskonale jak "Wielki Brat" zareagowałby na tego rodzaju pomysł.

A propos, o sprawach tych wiem coś niecoś z własnego doświadczenia. Będąc bowiem w latach 1954-1956 sekretarzem Komisji ds. Nauki przy Biurze Politycznym KC PZPR, która m. in. zajmowała się stanem fizyki jądrowej w kraju, o omawianą problematykę "otarłem się" osobiście. Komisja zajmowała się m. in. organizacją IBJ, Instytutu Badań Jądrowych, który powstał w 1955 r. w Warszawie oraz przygotowaniem do uruchomienia jego ośrodka w Świerku, gdzie w 1958 r. uruchomiono pierwszy reaktor jądrowy produkcji sowieckiej w Polsce.

Reaktor nie dawał **żadnych** możliwości wykorzystania go do celów wojskowych. Słyszałem też wielokrotnie wówczas i w późniejszych latach od wyższych rangą oficerów Ludowego Wojska Polskiego, że nawet drobne wzmianki na temat konieczności jego wyposażenia choćby w artylerię nuklearną były bezzwzględnie tępione.

Na terytorium PRL była zmagazynowana broń nuklearna, formalnie w "dyspozycji" Sztabu Generalnego WP, ale strzegły jej sowieckie jednostki PGWAR, Północnej Grupy Wojsk Radzieckich w Polsce, co mogło sugerować, iż broń była do jej dyspozycji (opuszczając Polskę wojska te zabrały ją ze sobą).

Po zniknięciu PRL *nic* pod tym względem nie uległo zmianie. ZSRR już nie ma, co prawda, Rosja niby do jej polityki wewnętrznej i zewnętrznej nie miesza się, ale rzeczywistość jest **inna** przecież!. W związku z rozszerzeniem się NATO na wschód i opozycją Rosji, Rada Sojuszu zapewniła ją specjalną uchwałą z 14 marca 1997 r., że na terytorium nowych jego członków, nie zamierza stacjonować swoich wojsk. A ponieważ NATO **nigdy** nie przyrzekało uzbrojenia WP w broń nuklearną, ani Polska też o to nie prosiła, więc broni nuklearnej na jej terytorium nie ma i prawdopodobnie **nigdy** nie będzie.

A czy może być? Francja i Anglia nie stacjonowały nigdy swojej broni nuklearnej na terytorium obcego kraju ani nie użyją jej - przypominając to jeszcze raz - do jego obrony.

Pozostaje więc amerykańska broń nuklearna. U szczytu "zimnej wojny" było jej w Europie zachodniej - znowu przypominając - ok. 7,2 tys. "sztuk". Obecnie USA mają w Europie Zachodniej, Anglii, Belgii, Grecji, Holandii, RFN, Turcji i Włoszech *jedynie* 150 zmagazynowanych nuklearnych bomb grawitacyjnych (mówi się o ich wycofaniu).

W efekcie, NATO **nie przyczyni się** do "nuklearyzacji" Polski, przedstawiając jedynie na wzięciu jej pod swój "parasol nuklearny".

A czy na nim można będzie polegać w razie potrzeby - lepiej nie speku-

lować.

Na tym nie koniec. Jest więcej niż pewne, że gdyby Polska chciała wejść w posiadanie broni masowej zagłady, zwłaszcza nuklearnej, to podobnie jak ongiś ZSRR, dziś NATO **nie dopuściłoby** z pewnością do tego. .

### B. Szanse na mocarstwowość Polski.

Polska nie jest mocarstwem wojskowym, ale czy nie powinna nim być, zakładając, że **nikt** jej w tym nie przeszkodzi?

Pierwszym obowiązkiem każdego państwa przecież, uważającego się w dodatku, jak polskie, za w pełni niepodległe i suwerenne, żyjącego w "zbrojnym i groźnym świecie", 8-krotnie większego ludnościowo od Izraela, mocarstwa nuklearnego - jest **troska** o bezpieczeństwo narodowe. Dlaczego *połowa* ludzkości może być "nuklearna", w tym kraje biedniejsze od Polski, jak Indie, Pakistan czy Chiny, czy równie jak ona biedna Rosja, a Polska nie? Zwłaszcza, że mocarstwa nuklearne są *nieszczerze* w swoich intencjach.

Podnoszą "szum" na przykład, że kraje *nienuklearne*, będąc sygnatariuszami wspomnianego już wielokrotnie NPT, układu wielostronnego o tzw. nieprolifracji, chcą dorwać się do "atomów" w ten czy inny sposób.

A co robią mocarstwa nuklearne, żeby do tego nie doszło? Świecą może przykładem innym?

Skądże! NPT, bez wejścia w życie innego porozumienia, Traktatu o Całkowitym Zakazie Prób z Bronią Nuklearną, w angielskim skrócie zwanego CTBT, zawartego 24 września 1996 r. w Nowym Jorku pomiędzy 154-oma państwami, niewiele znaczy (o sprawie tej będzie więcej w V rozdziale).

Skoro tak, to dlaczego Polska ma być "grzeczna", kiedy kraje nuklearne nie godzą się na **żaden** kaganiec dla siebie, a jednocześnie chcą go nałożyć innym?

Ewentualne wejście Polski w posiadanie broni *nuklearnej*, wymaga poważnego zastanowienia się, a nie wałęsowsko-parysowych pomysłów (chodzi tutaj, według krajowych informacji, o pomysł sprzed lat prezydenta Lecha Wałęsy i Jana Parysa, ministra obrony narodowej, zakupu *głowicy nuklearnej* od stacjonujących wojsk rosyjskich w Polsce. Pomysł z *jedną* tylko głowicą, nie wiadomo jeszcze czy prawdziwą, na tle ich tysięcy w innych krajach, w dodatku bez środków przenoszenia jej do celu, godny był "Humoru z zeszytów szkolnych"!).

Podchodząc jednak do sprawy poważnie, Polska musiałaby przede wszystkim określić *cel* posiadania broni nuklearnej. Celem powinno być **odstraszenie** potencjalnego agresora od napadu na Polskę.

Ale kto mógłby być takim "potencjalnym agresorem"? Jeśli Polska byłaby całkowicie *neutralna*, to takimi agresorami mogłyby być najprawdopodobniej Rosja i NATO. Wątpliwe bowiem, żeby Chiny, Indie, Pakistan czy Izrael, albo Korea Północna lub ktoś inny jeszcze, miał do Polski "zale" godne napadu nuklearnego.

Nuklearne odstraszenie zaś Rosji i NATO przez Polskę, w świetle cytowanych powyżej cyfr i faktów, nie zasługuje na poważną dyskusję.

Od strony NATO zresztą, po tym jak Polska została jego członkiem, teoretycznie przynajmniej, agresja jej nie grozi.

Pozostaje więc **Rosja** jako potencjalny agresor. W takim przypadku jednak, Polska, stając się ofiarą jej agresji, jako członek NATO, może liczyć w myśl litery Art.5 Traktatu Waszyngtońskiego, na solidarną pomoc sojuszników. W rzeczywistości, "solidarna pomoc" jest obwarowana licznymi wyjątkami od tej reguły, zwłaszcza Art. 3 Traktatu, który wyraźnie stwierdza, że każdy członek Sojuszu musi przede wszystkim **sam** się bronić, zanim ktoś inny zacznie go bronić. A Polskę można byłoby przecież uznać za *niedostatecznie* przygotowaną do obrony, a więc jej wina i nikt nie będzie za nią przelewał swojej cennej krwi.

Dla Polski powstaje w tej sytuacji problem *odstraszenia* Rosji, supermocarstwa wojskowego, z **olbrzymim** arsenałem nuklearnym, jak to było powyżej ilustrowane odpowiednimi przykładami.

Izrael *może* swoimi 100-200 ładunkami nuklearnymi odstraszać nenuklearne kraje arabskie, narazie przynajmniej, ale *ile* musiałyby mieć ich Polska, żeby odstraszyć Rosję? Gdzie i jak miałyby być one bazowane, problem *niezwykle ważny* ze względu na niewielkie terytorium Polski, znajdujące się w bezpośrednim sąsiedztwie Rosji. Francja, która ma terytorium prawie 2-krotnie większe od Polski i jest dalej od Rosji niż Polska, zrezygnowała z bazowania na nim swojej broni nuklearnej, żeby "nie zapraszać" potencjalnego agresora do zmasakrowania jej już na początku konfliktu.

Wszystkie dylematy tego rodzaju są jednakże wtórnymi, gdyż najpierw należałoby zacząć od tego *jak* stworzyć arsenał nuklearny i *jakich* musiałyby on być rozmiarów.

W grę wchodzi tutaj *koszty* przedsięwzięcia, *baza techniczno-naukowa* oraz *kadry* tworzące broń nuklearną. Integralną częścią przedsięwzięcia, kosztowniejszą i trudniejszą, są *środki przenoszenia* ładunków nuklearnych do celu (środki przenoszenia w polskiej terminologii wojskowej nazywane są "nosicielami", ale dla uniknięcia nieporozumień lepiej stosować to pierwsze określenie, odpowiadające "means of delivery" w amerykańskiej terminologii wojskowej). Do tego dochodzi jeszcze *nuklearna infrastruktura*, na którą

składają się systemy wczesnego ostrzegania, jak między innymi obserwacja i łączność satelitarna oraz sprawny wywiad wojskowy.

Zaczynając od kosztów przedsięwzięcia, jakimś przykładem może tu być Francja, posiadająca obecnie, po ponad 40-tu latach wysiłków w tym kierunku, ok. 450 głowic nuklearnych. Stworzenie tego potencjału nuklearnego, lilipuciowego w porównaniu z rosyjskim czy amerykańskim, kosztowało ją ponad 100 mld. dol., a roczne jego utrzymanie kosztuje ją dodatkowo ok. 10 mld. dol.

Polski **nie stać** na tego rodzaju wydatki. W rzeczywistości, musiałyby one być nawet **większe** od francuskich. Francja *nie odstrasza* bowiem Rosji swoim arsenałem nuklearnym, kryjąc się w cieniu amerykańskiego. Polska zaś musiałyby *samodzielnie* ją odstraszać, co wymagałoby posiadania znacznie większego arsenału nuklearnego od francuskiego.

Dalszym dylematem jest *stworzenie* tego arsenału. Polskie reaktory w Świerku 10-megawatowy "Ewa" oraz 30-megawatowy "Maria", są *za słabe* do produkowania dostatecznej ilości materiału rozszczepialnego dla broni nuklearnej (potrzebne są o mocy równej lub powyżej 70 megawatów. Izrael, mając taki reaktor, produkuje podobno nie więcej niż 2-3 niewielkie ładunki atomowe rocznie). Reaktory te musiałyby więc ulec odpowiedniej modyfikacji i modernizacji. Należałoby też wznieść wiele innych i bardzo kosztownych, jak również technicznie zaawansowanych obiektów dla produkcji broni nuklearnej. Innym problemem byłoby jej wypróbowanie. Francja i Anglia, nie mówiąc już o Izraelu, żadnych prób nuklearnych na swoim terytorium nie przeprowadzały, uważając go za zbyt małe (Francja prowadziła je w swoich posiadłościach, podczas gdy Anglia w USA).

Polska zatem, nawet mając fundusze na wyprodukowanie broni nuklearnej, *rzecz więcej* niż wątpliwa, mogłaby samodzielnie **nie pokonać** piętrzących się przeszkód różnego rodzaju, zwłaszcza natury techniczno-przemysłowej i kadrowej.

Niektóre inne mocarstwa nuklearne korzystały z pomocy drugich, albo rozwiniętego szpiegostwa, co w przypadku Polski jest raczej wykluczone.

Opanowanie produkcji broni nuklearnej, w kraju takim jak Polska, w najlepszym nawet przypadku, to sprawa **wielu** lat (Pakistan, mimo wszechstronnej pomocy Chin, potrzebował 24 lata na wyprodukowanie pierwszych ładunków atomowych. Izrael uporał się z tym szybciej, ale 20 kg wzbogaczonego uranu uzyskał oficjalnie z USA, podczas gdy następne 80 kg najprawdopodobniej nielegalną drogą).

Problemem ważniejszym i **znacznie** kosztowniejszym z kolei, byłaby wspomniana już sprawa *środków przenoszenia* broni nuklearnej do celu.

Polska broń nuklearna **nie mogłaby** być bazowana na lądzie w postaci



rakiet balistycznych "ziemia-ziemia", czy to w umocnionych silosach czy na pojazdach samochodowych bądź kolejowych. Ze względu na bezpośrednią bliskość Rosji bowiem, groziłoby jej zniszczenie nagłym napadem, nuklearnym lub konwencjonalnym (broniami precyzyjnymi), zanim osiągnęłaby zdolność operacyjną (w zależności od typu rakiety wymagany czas wynosi do 25 minut).

Pozostają więc rakiety balistyczne "woda-ziemia" i ewentualnie różnych typów pociski "powietrze-ziemia".

W pierwszym przypadku, broń musiałaby być bazowana na pokładach *jednostek pływających*, głównie nuklearnych łodzi podwodnych. Ich rejsy musiałby odbywać się *nie* na Bałtyku, ale Atlantyku i Oceanie Lodowatym (pod ich powierzchnią, w ukryciu). Jednostek takich musiałoby być kilka lub kilkanaście.

Kto miałby te jednostki pływające w Polsce produkować? Z góry można powiedzieć, że krajowe stocznie i ich zaplecze naukowo-produkcyjne **nie podolałoby** takiemu zadaniu. Kupno zaś takich łodzi za granicą *nie wchodzi* w rachubę. Jakimś wyjściem z sytuacji mogłyby być *rakiety skrzydlate*, bazowane na pokładach nawodnych okrętów, albo w ostateczności statków handlowo-rybackich, ale wtedy byłyby one wystawione na zniszczenie *w każdej chwili*, nie mówiąc już o tym, że do ataku na supermocarstwo **nie nadają się** ze względu na jego silną obronę przeciwpowietrzną.

Bazowanie broni nuklearnej na pokładach *samolotów* wreszcie, jest prawie wykluczone, nie tylko ze względu na **brak** takich samolotów w Polsce, choć niektóre można by jakoś dostosować do tych celów, ale także odpowiednich pocisków "powietrze-ziemia". Wątpliwy byłby ich zakup za granicą, podczas gdy wyprodukowanie ich w kraju jest mało prawdopodobne. Część tych samolotów musiałaby być poza tym *ciagle* w powietrzu, żeby uniknąć zniszczenia nagłym napadem na lotniska, ale i w locie byłyby one zagrożone zniszczeniem ze względu na bliskość Rosji. Odbywanie zaś lotów daleko poza krajem, nad oceanami, wymagałoby samolotów dalekiego zasięgu, których Polska nie ma i najprawdopodobniej mieć nie będzie.

Pozostają więc jedynie miny oraz artyleryjskie pociski, ewentualnie jeszcze "walizki" nuklearne, które w minimalnym stopniu mogłyby być bronią *odwetową*, ale **nie odstrasżającą** supermocarstwo.

Szanse na *nuklearyzację* Polski, są więc żadne. Bez niej zaś - powtórzmy to jeszcze raz - mocarstwowość Polski jest **z góry** wykluczona. Pozostaje więc NATO jako gwarant bezpieczeństwa Polski - prawdopodobnie **wątpliwy** w potrzebie.

## Rozdział IV:

### Od "Pax Romana" do "Pax Americana"

#### 1. Jednobiegunowy świat.

Zbrojny świat - to *groźny* świat. Uzbrojony po zęby, w broni masowej zagłady zwłaszcza, świat taki może w okamgnieniu zamienić się w zgliszcza, dziś **tak samo** jak w "okresie "zimnej wojny". A ponieważ, jak to już wspomniano w innym miejscu, w świecie tli się wiele konfliktów - tym łatwiej wzniecić ogień wojny. Wiosną 1999 r., w czasie prawie 79-dniowej wojny NATO z Jugosławią, pierwszej w jego historii, **po raz pierwszy** od lat dało się słyszeć głosy ostrzegające przed nową wojną światową. Tym razem obeszło się bez niej, ale kto może zaręczyć, że nie trafią się jakieś nowe, lokalne wojny, które staną się zapłonem do światowej? Tak przecież bywało w przeszłości - powtarzając za innym rozdziałem - i tak też może być w przyszłości.

Eliminacja więc *każdej* wojny, choćby najmniejszej, stała się **pilną** koniecznością współczesnego świata.

Ludzkość, bardziej niż kiedykolwiek, wydaje się być naogół zgodna, zwłaszcza po tym jak uporała się - chciejmy w to wierzyć - z "zimną wojną", w każdej chwili grożącą przerodzeniem się "gorącą" III wojną światową, że wojna już **niczego** nie rozwiązuje.

Naogół zgodna, ale do osiągnięcia porozumienia *jak* przekuć wolę w czyn, już mniej.

Nie jest to, co prawda, pierwszozna dla ludzkości, gdyż i dawniej tak bywało, ale też **nigdy** przedtem wyzwanie eliminacji wojny nie było dla niej przysłowiowym "*być albo nie być*". Nigdy ponadto, w związku z przewrotem w komunikacji i łączności, świat nie był tak mały, a ludzkość tak świadoma *wspólnoty* swoich interesów.

Nie oznacza to jednak, że i w przeszłości ludzkość nie próbowała "uła-

dziać" świata, choć ze względów oczywistych, głównie na skalę regionalną, a nie globalną. Na skalę globalną zaczęła szukać rozwiązań dopiero w XX wieku, po powstaniu najpierw Ligi Narodów po I wojnie światowej, a następnie Narodów Zjednoczonych po II wojnie światowej.

Wszystkie te próby, niestety, kończyły się **zawsze** fiaskiem. Próby podejmowane przez ONZ nie dobiegły jeszcze końca, co prawda, ale po ponad półwiecznym ich okresie, zwłaszcza w sytuacji gdzie USA i NATO wyraźnie nie udzielają im już poparcia - nie ma podstaw do wiary w ich pomyślny finał.

Uładzanie świata przez ludzkość zresztą, całymi wiekami **nie było** podejmowane kolektywnie, poza wyjątkiem ostatnich 8-miu dziesięcioleci, choć i wtedy tylko pozornie.

Z reguły były to **indywidualnie** podejmowane próby, przez imperia lub poszczególne państwa, różnie zwące się w poszczególnych okresach czasu.

"Świat wielobiegunowy" (multipolar), aczkolwiek **zawsze** istniejący, z czego wiekami nie zdawano sobie sprawy, miał tendencje, nie wiadomo jeszcze czy "niestety" czy "na szczęście", do "**jednobiegunowości**" (unipolarity), z "dominującym centrum", próbującym panować nad nim, pomijając już co w dalszej przeszłości wiedziano o świecie.

Tylko w okresie "zimnej wojny", po raz **pierwszy** w historii, świat podzielił się z grubsza na "**dwubiegunowy**" (bipolar), "zachodnio-wschodni" albo raczej "amerykańsko-sowiecki".

Po rozpadzie ZSRR jednak, rozpadł się również "**dwubiegunowy świat**", a na jego miejsce, tak jak to już bywało w historii, pojawił się lub pojawia się, "**świat jednobiegunowy**", z jego centrum - USA.

"**Jednobiegunowość**" nie jest jednak w otaczającym człowieka świecie zjawiskiem normalnym.

W naturze "biegun" **nie występuje** w liczbie pojedynczej. W geografii występują "bieguny Ziemi", północny i południowy, dwie części *tej samej* całości. Żadna z nich samodzielnie nie mogłaby istnieć. Geograficzny podział wynika z kolei z *dwóch* "magnetycznych biegunów Ziemi", a nie jednego. Astronomia zna "bieguny świata", zwane też "*niebieskimi biegunami*", znów nie w liczbie pojedynczej. Nauka zna jeszcze "*bieguny elektryczne*", dwa, "dodatni" i "ujemny" oraz "*biegunowe współrzędne*", zwane parą liczb rzeczywistych, znów nie jednej liczby, ale *dwóch*.

Człowiek jednakże, niepomny *nienaturalności* swoich poczynań, brał się zawsze za próby stworzenia "**jednobiegunowego świata**", według własnego widzimisię, a co najważniejsze - nie pozbawionego korzyści własnych.

I tym próbom właśnie, przeżywającym znów swój *historyczny renesans*, należy poświęcić uwagę.

## A. "Pax Romana"

Pierwszą historycznie próbą *uładzenia* świata był "Pax Romana", "pokój-lad" nowonarodzonego Cesarstwa Rzymskiego.

Co jego twórca, cesarz Oktawian August, żyjący na przełomie starej i nowej ery, wiedział o otaczającym go świecie - nie wiadomo, ale z pewnością wiedział bardzo niewiele. Nie mógł wiedzieć o istnieniu Półkuli Zachodniej, a i o Wschodniej jego wiedza była więcej niż ograniczona. Na ile też on i jego "Pax Romana" chcieli *uładzać* starożytny świat, niosąc na jego krańce swoje porządki, oparte na okrutnym, ale spójnym i konsekwentnie stosowanym prawie, a na ile był to rezultat potrzeb Imperium, które dla swojego istnienia musiało sprowadzać zboże i niewolników spoza Półwyspu Apenińskiego, jest sprawą do dyskusji pomiędzy badaczami tego historycznego zjawiska.

Od strony niematerialnej, historia "Pax Romana" sięga swoimi korzeniami wierzeń i mitów starożytnej Grecji, gdzie poczesne miejsce zajmowały trzy hory, boginie pór roku, córki Zeusa i Temidy (czci boskiej boginiom tym nie oddawano).

Starożytny Rzym, przejmując wiele wierzeń i mitów greckich, przejął także hory, adaptując je do swoich religijno-państwowych potrzeb. Jednej z nich, Ejren (od niej wywodzi się imię Irena), nadano imię Pax, Pokój, przekładając na polski.

Pax, z Plutosem na rękę, w niektórych wierzeniach greckich bogiem zbiorów i bogactwa, z "palumą pokoju" w drugim rękę i z przewieszonym przez ramię "rogiem obfitości", była uosobieniem pokoju i dobrobytu, awansując z czasem do miana bóstwa. Co ważniejsze, Pax obrano za patronkę okresu panowania Oktawiana Augusta, adoptowanego syna Cezara i pierwszego cesarza Imperium Rzymskiego. Jego pomyślne, choć krwawe panowanie, zwane "Aera Pacis Augustae", "Okresem Pokoju Augustiańskiego", nazywano także "*Pax Romana*", "*Pokojem Rzymskim*", "stanem pokoju", wewnętrznym i zewnętrznym *ładem imperium*.

"Pax Romana", jak wszystkie inne wyidealizowane zjawiska historyczne, był w rzeczywistości *daleki* od opiewanej przez Wergiliusza świetności i wszechpotęgi Rzymu. Oktawianowi bowiem, którego panowanie Wergiliusz nazwał "złotym wiekiem", nie wszystko się udawało, choć w odróżnieniu od swoich poprzedników rozporządzał zawodową armią, a nie pospolitym ruszeniem, siłą bardziej sprawną do podbojów. Mając taką siłę, Oktawian usiłował rozszerzyć swoje imperium, sięgające wówczas Eufratu, Morza Czerwonego, Sahary, Dunaju i Renu. Zaczął od podboju ziem na wschód od Renu,

ale plemiona germańskie wyrznęły niemal do nogi jego 20-tysięczne 3 legiony, co ich dowódcę Varusa, załamanego nieznaną dotąd w historii Rzymu klęską, przyprawiło o samobójstwo.

Oktawian, wstrząśnięty klęską, wyzbył się odtąd zamiarów podbijania ziem germańskich, podobnie jak jego następcy, którzy podbili dziesiętą Anglię, ale w ślady Varusa nie poszli, zatrzymując "Pax Romana" na linii Renu. Z czasem, jak wiadomo, ruch nastąpił w odwrotnym kierunku i Germanie zaczęli zakładać swój "pokój-ład" w Rzymie, nauka dziejowa godna zapamiętania.

Wraz z upadkiem Rzymu po najeździe barbarzyńców, pomijając już jego wcześniejszą erozję od wewnątrz, "Pax Romana" legł zatem w gruzach.

Pierwowzór jego jednak przetrwał, choć można wątpić, czy niektórzy z jego późniejszych naśladowców, jak Czyngis-chan, o nim słyszeli. Ale z pewnością słyszał bizantyjski cesarz Bazyl II, którego imperium, z jego stolicą Konstantynopolem, rozciągało się na przełomie I i II tysiąclecia od Armenii i Syrii do południowej części Półwyspu Apenińskiego i późniejszej Jugosławii. Bazylowi II, porównywanemu do Cezara i Augusta Oktawiana, nie udało się jednak stworzyć "Pax Byzantina", "Pokoju Bizantyjskiego", a tym samym odtworzyć "Pax Romana" w jego nowym wydaniu. W niecałe pół wieku po śmierci Bazylego II, na Bizancjum, do niedawna jeszcze najlepiej zorganizowane i najpotężniejsze państwo świata, z jednej strony najechali Normanowie, z drugiej seldżuccy Turcy i państwo, coraz bardziej też chwiejące się od wewnątrz, zaczęło upadać, aż zniknęło z mapy świata w 1453 r.

"Pax Romana", w wydaniu Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, zwanego Świętym, współczesnego Bazylowi II, próbowali z kolei odtworzyć Niemcy, zwłaszcza cesarz Otton III, pół-Bizantyjczyk.

Nie udało się. Święte Cesarstwo, będąc luźnym związkiem, uwikłanym w wewnętrzne, krwawe spory, nie było w efekcie żadnym "pokojem" ani "ładem", ale bezładem.

Kościół z kolei, pomijając Państwo Kościelne, Patrimonium Sancti Petri, niewielkie państwo na Półwyspie Apenińskim, istniejące w latach 756-1870, którego szczytkowym kontynuatorem jest obecne państewko watykańskie, nie miał materialnych podstaw dla pójsicia w ślady "Pax Romana", duchowe bowiem nie wystarczały.

"Pax Christi", "Pokój Chrystusowy" albo "Pax Ecclesiae", "Pokój Kościelny", nigdy więc nie powstały, jeśli nie liczyć "Pax Christi", organizacji katolickiej we Francji, założonej w latach 1944-1945, głoszącej pokój pomiędzy narodami, francuskim i niemieckim, działającej do dnia dzisiejszego.

## B. "Pax Mongolica".

Zjawiskiem historycznym do dziś niezbyt rozpoznany, były narodziny w XIII wieku "Pax Mongolica", "Pokoju-ładu Mongolskiego".

Islam, który już od setek lat wykazywał niezwykle dynamizm, będąc początkowo pod silnym wpływem hellenizmu oraz podbijając rozległe obszary w Azji, Afryce Północnej i częściowo w Europie, jakoś nie stworzył "Pax Islamica", "Pokoju-ładu Islamskiego", choć teoretycznie miał wszelkie do tego podstawy.

Zjednoczone tymczasem plemiona mongolskie, liczące 70-300 tysięcy ludzi (dokładnych informacji na ten temat brak), w latach 1206-1227, pod wodzą stepowego i niepiśmiennego wojownika Czyngis-chana, uznawanego dziś przez niektórych historyków za *największego* męża stanu II tysiąclecia, dokonały nieznanych dotąd w tempie i skali podbojów w Azji oraz w Europie, zapuszczając się po jego śmierci aż do Egiptu w Afryce Północnej.

Mongołowie, wyznawcy szamanizmu, prymitywnego wierzenia, nie byli fanatykami religijnymi. Nie ma też pewności co tak naprawdę kierowało nimi, że stworzyli "Pax Mongolica". Znaczony krwią i zgłiszczami, poszerzany po śmierci Czyngis-chana przez jego następców, pod koniec XIII wieku doszedł on do szczytu swojej świetności, obejmując obszary od Pacyfiku, z Koreą oraz dzisiejszymi Chinami włącznie, do Zatoki Perskiej z Półwyspem Arabskim oraz do Dniepru. Okresowo, "Pax Mongolica" sięgał Legnicy, Dunaju, Nilu, części dzisiejszych Indii, Indonezji, a niewiele brakowało, że także Japonii.

Podboje mongolskie, rezultat talentu dowódców, niezwykle wytrzymałości oraz bitności jeźdźców stepowych na niezmordowanych konikach, a wreszcie nieznanego dotąd systemu łączności, "Pax Mongolica" uczyniły zdumiewająco *triumfalnym* pochodem. Zdumiewającym również dlatego, że ówczesne 40-60-milionowe Chiny, były autentycznym supermocarstwem, z wysoko postawioną sztuką wojenną i najnowocześniejszą bronią, ale wtedy już sparaliżowane pacyfizmem. Tylko w dwóch przypadkach, zanim nie zaczął chylić się do upadku, triumfalny pochód mongolski spotkała klęska.

Pierwszą zadano mu w 1260 r. w Egipcie, gdzie Mamelucy pobili najeźdźców, aczkolwiek nie Mongołów, a będące w ich służbie plemiona turko-mańskie.

Drugą, w 1281 r. w Japonii, zadał im głównie tajfun, zatapiając niemal doszczętnie mongolską flotę inwazyjną.

Słabą stroną "Pax Mongolica", na tych olbrzymich obszarach, było zaplecze gospodarcze oraz niedostateczna ilość etnicznie mongolskich elit rzą-



dających, które musiały wspomagać się podbijanymi ludami, co z czasem, w Chinach głównie, doprowadziło nowe imperium do rozkładu i utraty stanu posiadania..

"Pax Mongolica" zatem, z tą samą niemal szybkością przeszedł od sukcesu do klęski, nie pozostawiając po sobie śladu, jeśli nie liczyć złych wspomnień u będących kiedyś pod jego panowaniem ludów.

"Pax Mongolica" powinien być więc groźnym *memento* dla tych wszystkich, którzy nie wierzą w "historyczne niespodzianki", w wydarzenia urągające logice.

### C. "Pax Britannica".

Po upadku "Pax Mongolica", który zresztą daleko nie wszędzie odcisnął swoje piętno, w Europie Zachodniej przede wszystkim, której udało się uniknąć pustoszących najazdów mongolsko-tatarskich, w świecie dość długo była cisza z "pokojami-ładami". Sytuacja zaczęła się jednak znów zmieniać, w Europie, podobnie jak za czasów rzymskich, wybijającej się na centrum świata. Hiszpanie i Portugalczycy zaczęli zakładać swoje "pokoje-łady" w odkrytym Nowym Świecie, w południowej jego części i w innych miejscach globu, a Rosjanie, po zrzuceniu panowania tatarsko-mongolskiego, na obszarach od Dniepru do Kaukazu i brzegów Pacyfiku. Pomniejsze "pokoje-łady" tworzyli też Polacy, Szwedzi, niemiecko-wieloetniczne Cesarstwo Habsburskie, ale prawdziwego "pokoju-ładu" *nikt* jednak nie stworzył przez całe stulecia. Na krótko zamajaczył się jeszcze "Napoleoński pokój-ład", a na nieco dłużej "Święto-Przymierzowy pokój-ład", ale zanim stanęły na nogi, poszły w gruzy.

I tak było aż do pojawienia się "Pax Britannica".

Brytyjski "pokój-ład" wkroczył na scenę historyczną *inaczej* niż jego poprzednicy, "Pax Romana" i "Pax Mongolica". Jego twórcy, Anglicy, są z niego dumni do dnia dzisiejszego, przedstawiając "Pax Britannica" jako "zycziwą", "uczynną hegemonię" (*benevolent hegemony*), w znacznym stopniu wyidealizowany obraz, ale też nie pozbawiony dużej dozy obiektywizmu.

Anglia pierwsza weszła w okres Rewolucji Przemysłowej, a jako kraj wyspiarski, wolny całymi wiekami od obcej inwazji, posiadający ponadto tradycje żeglarstwa oraz silną flotę, mający lepiej rozwinięty handel z resztą świata od wszystkich innych, dość szybko wyrósł na pierwszą potęgę gospodarczą. W połowie XIX wieku ok. 40 procent światowej produkcji przemysłowej przypadało na Anglię, ona też była finansowym centrum świata oraz jego największym eksporterem i importerem. Jej rozwijająca się zamorska ekspansja kolonialna poniosła porażkę w części północnej Półkuli Zachod-

niej, co prawda, po tym jak powstały USA, ale wszędzie indziej notowała postępy. Europa kontynentalna, która mogła tej ekspansji zagrozić, po Kongresie Wiedeńskim w 1815 r., w którym Anglia wzięła udział jako jeden z członków Wielkiej Piątki, uspokoiła się na kilka dziesiątków lat. Okres ten pozwolił Anglii wybić się na *dominującą* w świecie siłę. Status ten Anglia osiągnęła jakby mimochodem, gdyż żadnych planów dominacji nad światem nie miała, a ponadto była to dominacja niemal wyłącznie natury ekonomicznej, gdyż wojskowa, poza morską, była daleko *niedostateczna* dla tego celu. Tym bardziej, że "Pax Britannica" nie był aż tak "zycziwą" i "uczynną" dominacją, jak to chcieliby widzieć jego niektórzy potomkowie. Brytyjskie podboje, aczkolwiek nie tak krwawe jak ongiś rzymskie czy mongolskie, były brutalne. "Pax Britannica", jeśli już nie podbijał, to uciekał się nierządkiem do wspierania swojej dyplomacji siłą zbrojną, czym zyskał sobie miano "dyplomacji kanonierek".

Co najważniejsze jednak, to istniejący brak zgody pomiędzy historykami, czy "Pax Britannica" był dla Anglii zjawiskiem korzystnym. Utrzymywanie bowiem kontroli, z reguły zbrojnej, nad oddalonymi posiadłościami kolonialnymi, a zwłaszcza szlakami morskimi, było kosztowne, neutralizując płynące stąd korzyści. Ponadto, Anglia zaczęła się zderzać coraz bardziej z interesami rosnących w siłę USA, a także z rosnącą penetracją Azji przez Rosję.

Z USA, krajem o dynamicznie rosnącej potędze gospodarczej, w latach 1880-ch zdobywającym pierwsze miejsce w świecie w produkcji globalnej, a na początku lat 1900-ch także w produkcji przemysłowej, spychającym Niemcy na drugie miejsce, które w międzyczasie zdystansowały Anglię, "Pax Britannica" znalazł platformę porozumienia. Wspólnota językowa i kulturowa była tutaj czynnikiem sprzyjającym, pomimo tak niesprzyjającej okoliczności jak awansowanie USA do faktycznego, choć jeszcze nie formalnego, centrum finansowego świata, co od strony gospodarczej podcinało korzenie "Pax Britannica".

Gorzej było z Rosją, ale na krótko przed I wojną światową "Pax Britannica" znalazł także i z nią porozumienie.

Groźne wyzwanie "Pax Britannica" rzuciły natomiast szybko rosnące w siłę Niemcy, od 1871 r. nowopowstała I Rzesza, która na przełomie XIX i XX zdystansowała Anglię w produkcji przemysłowej, a tuż przed wybuchem I wojny światowej niemal zrównała się z nią w eksporcie. Sięgnęła też, co gorsza, po palmę pierwszeństwa we flocie wojennej, gdyż w wojskach lądowych miała nad Anglią przewagę już od lat. Punktem kulminacyjnym tej rywalizacji stała się I wojna światowa, która "Pax Britannica" położyła już *osta-*

teczny kres, choć w stanie szczątkowym trwał jeszcze przez okres międzywojenny. Zgonu jego, co prawda, oficjalnie nie ogłoszono, ale ponad wszelką wątpliwość "Pax Britannica", nad którym kiedyś "nie zachodziło słońce", zszedł niemal bezszelestnie ze sceny historycznej, według wszelkiego prawdopodobieństwa już na zawsze.

"Pax Britannica", mając bazę ludnościową w stopniu bez porównania większym od "Pax Mongolica", miał ją jednak *niedostateczną* jak na imperialne wymogi, a z czasem również baza gospodarcza i wojskowa stały się zbyt wąskie dla sprostania zagrożeniom zewnętrznym.

"Pax Britannica" poszedł więc w gruzy, jak wszystkie inne przed nim "pokoje-lady", co powinno być jeszcze jednym groźnym *memento* dla naśladowców podobnych przedsięwzięć.

Naśladowcy, jak wszędzie i we wszystkim, znaleźli się jednak.

#### D. Nie narodzone "pokoje-lady".

"Pax Britannica", nie tak jak jego poprzednicy, "Pax Romana" i "Pax Mongolica", miał niemal od początku swojego istnienia poważnych konkurentów. Fakt zaś, że istniał względnie długo jak na swoje możliwości, wynikał stąd, że nie tak jak jego poprzednicy, unikał z nimi konfrontacji zbrojnej, a jeśli już decydował się na nią, to nie w osamotnieniu.

Najpoważniejszym konkurentem "Pax Britannica", czego objawy zaczęły być widoczne już w ostatnim ćwierćwieczu, stała się - przypominając to jeszcze raz - nowoutworzona II Rzesza Niemiecka.

Początkowo ten najpotężniejszy w Europie kraj, współzawodniczący z USA o palmę pierwszeństwa w gospodarce światowej, o tworzeniu "Pax Germanica", "Niemieckiego pokoju-ladu", nie mówił, ale z jego działań wynikało niedwuznacznie, że w tym kierunku postępował. Czy w rezultacie tego kielkujący "Pax Germanica" musiał się *nieuchronnie* zderzyć zbrojnie z "Pax Britannica" - budzi ostatnio spory wśród historyków (jeden z historyków angielskich, Niall Ferguson, twierdzi w swojej książce "The Pity of War", poświęconej I wojnie światowej, że wejście do niej Anglii było jej *największym błędem historycznym*, mającym za podstawę irracjonalną "antyniemieckość", rezultatem czego był upadek znaczenia Europy w świecie).

Ne dyskutując na ile interesy "Pax Britannica" mogły znaleźć wspólny mianownik z kielkującym "Pax Germanica", jedno nie wydaje się ulegać wątpliwości - połączonymi siłami mogły stworzyć jakiś "pokój-lad", który z pewnością ukształtowałby oblicze świata *odmienne* od znanego, a czy twór ten dotrwałby do dnia dzisiejszego - jest sprawą dyskusji.

Próby budowy "pokoju-ladu", w każdym razie, aż dwie w XX wieku, podjęły Niemcy.

Pierwszą, raczej spontanicznie i bez uprzednich planów, podjęły na fali I wojny światowej. W przypadku ich zwycięstwa, "Pax Germanica" był **zawpewniony** w Europie kontynentalnej, sięgający Wołgi i Kaukazu, a kto wie czy nie obejmujący także Wysp Brytyjskich oraz obszary w Afryce i Azji.

Drugą próbę, z góry *zaplanowaną* i uzupełnianą nowymi pomysłami w trakcie jej realizacji, podjął Hitler przed i w czasie II wojny światowej, tworząc "Pax Germanica" w wydaniu "Neue Ordnung" in Europa, "nowy ład" w Europie.

"Pax Germanica-Neue Ordnung", "Niemiecki pokój-nowy ład", mieszanina podbojów orężnych i "brunatnej rewolucji", objął swoim panowaniem, co prawda tylko na *krótki* okres czasu, prawie całą kontynentalną Europę Zachodnią, znaczną część europejskiego ZSRR, a także kawał Afryki Północnej.

Najprawdopodobniej, mógł pójść jeszcze dalej, zwłaszcza rozszerzając instytucję "narodu panów" nie tylko na ludy germańskie, ale całej Europy Zachodniej i Północnej, do której mogły być dodane niektóre narody Europy Środkowej i Wschodniej (jak Węgrzy, Chorwaci, Słowacy czy Bułgarzy).

Gdyby przedsięwzięcie powiodło się, to II wydanie "Pax Germanica" byłoby tworem bez porównania *potężniejszym* od I wydania sprzed ćwierćwiecza, nie pozostawiając długo miejsca dla jakichś innych "pokojów-ladów", przynajmniej w Europie.

Na skalę godną uwagi, ale jak oba wydania "Pax Germanica z krótkim żywotem, zabłysnął w okresie II wojny światowej "Pax Japonica", "Pokój-lad Japoński". Przedsięwzięcie to zasługuje na większą uwagę dlatego, że stanowiło jakby *drugi* biegun "Pax Germanica-Neue Ordnung".

Podobnie jednak jak ten ostatni, "Pax Japonica" legł pod ciosami koalicji Narodów Zjednoczonych.

Od czasów zaś Piotra Wielkiego poczynając, zwłaszcza po jego zwycięskich wojnach ze Szwecją i faktycznej satelizacji I Rzeczypospolitej po 1717 r., coraz natarczywiej zaczął dawać znać o sobie, rodzący się "Pax Russica", "Pokój-lad Rosyjski".

W innych warunkach, "Pax Russica" mógł wybić się na czoło wszystkich innych "pokojów-ladów", ale tak, z różnych przyczyn, nie stało się.

W trakcie I wojny światowej i jeszcze bardziej rewolucji bolszewickiej "Pax Russica" załamał się, ale niemal zaraz, pod inną nazwą i uzbrojony w "rewolucyjno-ekspansjonistyczną ideologię", został wkrzeszony jako "Pax Sovietica", urastając po II wojnie światowej, obok "Pax Americana", do mia-

na **najpoważniejszego** pretendenta do stworzenia "pokoju-ładu światowego".

"Pax Sovietica" załamał się jednak w wyniku ciągle zagadkowego samobójstwa w 1991 r., ale w międzyczasie, przez całe dziesięciolecie, współzawodnicząc z "Pax Americana" o panowanie nad światem, trzymał ludzkość w uścisku "zimnej wojny" i na krawędzi "gorącej" III wojny światowej.

Nieudane "pokoje-lady", każdy *jednobiegunowy* w swojej formie i treści, podobnie jak te udane, prowadzą do wniosku, że przedsięwzięcia tego rodzaju - podkreślając to jeszcze raz - kończą się **niezmiennie** fiaskiem.

## 2. Na marginesie narodzin "Pax Americana".

### A. "Przypadki historyczne chodzą po ludzkości"...

Mówi się, że "przypadki chodzą po ludziach", ale jeśli uznać, że kolejnym z "pokojów-ładów" jest "Pax Americana", to równie dobrze można mówić, iż "przypadki historyczne chodzą po ludzkości".

W 1790 r., kiedy I Rzeczpospolita, państwo przed I rozbiorem liczące prawie 13 mln. mieszkańców, zbliżała się do kresu swojego istnienia, niemal 4-milionowe Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, obejmujące 1/4 dzisiejszej powierzchni, wkroczyły właśnie na scenę dziejową.

Ciekawe, czy w ogóle wkroczyłyby, gdyby były w Europie, na miejscu Polski, z jej ówczesnymi sąsiadami!

USA wybiły się na niepodległość względnie tanim kosztem, gdyż Anglia utratą części tej akurat północnoamerykańskiej kolonii (drugą była kanadyjska), która w dodatku aż tak bardzo nie chciała się oderwać - specjalnie się nie przejęła. Może nawet odzyskałaby ją, ale Rewolucja Francuska i wojny napoleońskie zaprzętnęły jej uwagę.

Młode USA mogły więc spokojnie rozwijać się i rozszerzać na południe, na północny-zachód i na zachód. Za sąsiadów, czasowych, miały obok nie licznych Anglików oraz niegroźnych Francuzów i Hiszpanów, znacznie liczniejszych Indian, ale skłóconych między sobą i cywilizacyjnie zacofanych..

Wszyscy więc sąsiedzi nie byli większą przeszkodą w tej ekspansji.

Inaczej miałyby się sprawy, gdyby nowonarodzone USA za sąsiadów miały żądne ziem i zmilitaryzowane Prusy, ekspansywną i potężną Austrię, a nade wszystko imperium-kolosa Rosję, jak to "historycznie" przytrafiło się Polakom.

Jak wtedy, ciekawe, "Founding Fathers", ojcowie-założyciele Republi-

ki, poradziliby sobie z takimi sąsiadami...

Ze wszystkimi innymi wyzwaniem poradzili sobie natomiast nieźle i USA, krok za krokiem, zaczęły wyrastać na mocarstwo, później supermocarstwo, dziś jedyne w świecie, chociaż w dziedzinie wojskowej dzielące ten "zaszczyt" z Rosją.

Stając się stopniowo mocarstwem, USA wcale *nie musiały* dojść do punktu, od którego mogłyby zapragnąć budowania "Pax Americana". Przedsięwzięcie tego rodzaju bowiem, pomijając szczególny przypadek "Pax Mongolica", musi mieć jakieś *szersze* uzasadnienie, "interes narodowy" - jak by to dziś w USA powiedziano.

Wszystko potoczyło się jednak w taki sposób, w USA i w świecie, że do narodzin "Pax Americana" doszło, choć **nie wiadomo** kiedy i jak dokładnie.

### B. Cisza wokół tych narodzin!

Oficjalnie *nie istniejący* do dnia dzisiejszego "Pax Americana", ale *faktycznie* działający z coraz większym wigorem już od lat, jest z wielu względów wydarzeniem jakby wstydlwym.

Prawdę mówiąc, nie wiadomo dlaczego. USA, z oczywistych względów, są przecież **predystynowane** do odgrywania *wiodącej roli* we współczesnym świecie. Byłoby nawet *źle*, gdyby było inaczej. Kraj o wielkich i wszechstronnych możliwościach zdziałania czegoś *dobrego* dla ludzkości, nie powinien tego unikać, a przewodnictwo w takim działaniu uważać za swój *moralny* obowiązek. Chyba, że znajdzie się lepsze przewodnictwo.

Cisza na temat "Pax Americana", jeśli jest czasem przerywana, to jedynie w kręgach akademickich, z natychmiastowym jednak porównywaniem go do "Pax Britannica", "życzliwo-uczynnej hegemonii".

W *żadnej* amerykańskiej encyklopedii nie figuruje hasło "Pax Americana", a co dziwniejsze, nie figuruje też w innych zachodnich. Nie figurowało również w sowieckiej ani nie ma go w polskiej, zarówno w tej z lat 1995-1997, jak i tych z peerelowskich wydań.

O "Pax Americana" jest też niewiele w amerykańskiej literaturze politycznej i historycznej. W pamiętnikach prezydentów USA oraz Sekretarzy Stanu z powojennego okresu, gdyż wcześniejszy jest bezprzedmiotowy, nie ma wzmianki o "Pax Americana". Jedynie prezydent John Kennedy wspominał raz mimochodem o "Pax Americana", zaraz jednak wyjaśniając, że nie miał na myśli żadnych "*ciągłot hegemonistycznych*"... Wyjątkiem wśród osobistości amerykańskich, nazywających "Pax Americana" po imieniu, był gen. Maxwell Taylor, który w swojej książce "An Uncertain Trumpet" z 1959 r.



przelotnie o nim wspomniał, wówczas jako dowódca VIII Armii, ale kiedy został szefem Sztabów Połączonych, a następnie ambasadorem USA w Sajgonie, to określenia tego już *nigdzie* publicznie nie powtórzył.

Niemal identycznie jest z mężami stanu pozostałych krajów zachodnich, z wyjątkiem b. kanclerza RFN Helmuta Schmidta, który w swoich pamiętnikach "Menschen und Maechte" zdawkowo wspomniał o "Pax Americana".

Czy wobec tego "Pax Americana" naprawdę istnieje, skoro w USA, historyczne zjawisko tej wagi, jest faktycznie przemilczane?

Odpowiedzi na to pytanie nie ma, jeśli nie liczyć tych z dawnej sowieckiej literatury polityczno-propagandowej, która "Pax Americana", w sposób zresztą niezwykle powierzchowny, przedstawiała jako "przejaw amerykańskiego imperializmu" oraz "amerykańską politykę z pozycji siły".

Ciszę wokół narodzin "Pax Americana" należy tłumaczyć wieloma powodami, których nie sposób wyliczyć, ale przynajmniej o niektórych należy wspomnieć.

Po pierwsze, jak to niektórzy interpretują, cisza wynika z tej prostej przyczyny, że władze wiedząc, iż "historia znaczonej jest ruinami cywilizacji i potęg", nie chcą reklamy czegoś, co z góry skazane jest na klęskę.

Po drugie, "Pax Americana", jak wszystkie inne podobne mu zjawiska w historii, wiąże się z pojęciem *hegemonii*, albo raczej *hegemonizmu*. Hegemonia zaś, jeśli nawet przybiera formę - jak to nazywa Zbigniew Brzeziński - "łagodnej hegemonii amerykańskiej" ("soft American hegemony"), w swojej istocie **pozostaje** hegemonią.

W rzeczywistości, sprawa jest jeszcze bardziej złożona, gdyż amerykańska hegemonia jest nierzadko nazywana "hegemonizmem".

Różnica pomiędzy "hegemonią" i "hegemonizmem" wymaga wyjaśnienia. W słowniku ortograficznym języka polskiego, podobnie jak wyrazów obcych, słowo "hegemonizm" nie figuruje, a jeśli używane jest w mowie potocznej, to uważane jest za rusycyzm. Istotnie, w języku rosyjskim obok słowa "hegemonia", mającego *identyczne* znaczenie jak w języku polskim, istnieje także słowo "hegemonizm", z wyjaśnieniem, że chodzi o "polityczną hegemonię".

W języku angielskim, francuskim i niemieckim, słowo "hegemonizm" nie jest powszechnie używane, gdyż "hegemonia" pokrywa tutaj oba znaczenia, ale jeśli już, a zdarza się to coraz częściej, to w transliteracji identycznej jak rosyjska ("hegemonism", "hégémonisme", "Hegemonismus" wobec rosyjskiej "gegemonizm") oraz odpowiadające znaczeniowo rosyjskiemu "hegemoniznowi" (Webster "hegemonism" określa jako: "politykę lub praktykę

*hegemonii w celu służenia interesom narodowym*", "the policy or practice of hegemony to serve national interests").

Sądząc z tłumaczeń, również Chińczycy używają określenia "hegemonizm" w tym samym znaczeniu co Rosjanie i Webster (utożsamiając "hegemonizm" z *dominacją* amerykańską).

"Hegemonia", słowo pochodzenia greckiego, jest zresztą wieloznaczne, oznaczając "panowanie", "kierownictwo", "przewodnictwo", "przewagę" lub "przywództwo", określenia sobie pokrewne, ale *niejednoznaczne*, podczas gdy "hegemonizm" jest *jednoznacznym* określeniem. Stąd też Anglicy swój XIX-wieczny "Pax Britannica", dla zmiękczenia ujemnego wydźwięku określenia "hegemonia", gdyż określenie "hegemonizm" narodziło się później, nazywali ją - przypominając to jeszcze raz - "życzliwą" bądź "uczynną hegemonią" (benevolent hegemony).

Amerykanie postępują podobnie. Jeśli już przyznają istnienie "Pax Americana", to powtarzają za Anglikami, że jest on "życzliwo-uczynną hegemonią", ale **nigdy** nie nazywają go "hegemonizmem", choć od lat 1960-ch określenie to jest w USA, nie tak jak w XIX-wiecznej Anglii, powszechnie znane.

Bardziej właściwym określeniem dla "pokojów-ładów" jest jednak "hegemonizm", a **nie** "hegemonia".

Uzasadnieniem tego jest fakt, że hegemonia kultury starożytnej Grecji na przykład, czy francuskiej w dobie Oświecenia, była zjawiskiem  *dodatnim*, pozytywnym, *nie narzucanym* siłą.

Inaczej jest z "hegemonizmem". Historycznie, "Pax Romana" i "Pax Mongolica" były narzucane siłą. Oba więc "pokoje-ładów" były *dominacją* polityczno-wojskową nad ludami w ich orbicie. "Pax Britannica", co prawda, nie zawsze uciekał się do siły oręża dla ochrony swoich interesów, ale i **nie cofał się** przed sięganiem do niej.

W różnym stopniu zaawansowane "Pax Germanica", "Pax Japonica", "Pax Russica" czy "Pax Sovietica" - sięgały **zawsze** do siły i z całą brutalnością.

W praktyce jednak problem jest bardziej złożony, gdyż występują *dwie* odmiany hegemonizmu. Będąc **zawsze** dominacją, w swoim funkcjonowaniu dzieli się on na:

- *hegemonistyczny system* dominacji, przypisywany systemom i krajom niedemokratycznym:

- *pluralistyczny system* dominacji, lub *pluralistyczny hegemonizm*, przypisywany krajom demokracji liberalnej.

W tym drugim przypadku, hegemon, na przykład USA, zachowuje pozycję dominującą, ale *nie* wyłączną, wciągając do współdecydowania, na

partnerskiej zasadzie, również inne kraje (tak jest w NATO, Międzynarodowym Funduszu Walutowym, Banku Światowym oraz G-7, grupie 7-miu najsilniejszych gospodarczo krajów świata, do których ostatnio doprasza się także Rosję).

Powracając do przerwanoego tematu, niechęć w USA do potwierdzenia istnienia "Pax Americana" wynika więc przede wszystkim z **niechęci** do utożsamiania się z "hegemonizmem", choć nie wyłącznie.

Zakładając istnienie "Pax Americana", można zapytać dlaczego narodził się tak późno? Mógł przecież narodzić się tuż po I wojnie światowej, z której USA wyszły wzmocnione gospodarczo (zwiększyły swoją produkcję o 1/3, podczas gdy w pozostałych krajach nastąpił jej spadek o 1/3), wojskowo i politycznie, kiedy inne wielkie mocarstwa osłabione

Któż mógłby wtedy przeciwstawić się "Pax Americana"? Ententa przyjęłaby zapewne "Pax Americana" co najmniej z milczącą aprobatą, a jeśli jeszcze byłby on *pluralistycznym hegemonizmem*, to prawdopodobnie z entuzjazmem. Tak zanosilo się na to, gdy prezydent Woodrow Wilson energicznie zabrał się do budowy takiego właśnie systemu w postaci Ligi Narodów. USA jednak, niespodziewanie powracając po I wojnie światowej do izolacjonizmu - pozbawiły się *dobrowolnie* tej historycznej okazji.

Po II wojnie światowej sprawy potoczyły się odmiennie. W USA nie było już silnego społecznego poparcia dla izolacjonizmu, a przeciwnie - istniało silne poparcie dla *aktywnego zaangażowania* kraju w sprawy światowe.

Radykalna zmiana w podejściu USA do swojej roli w świecie, przy jednoczesnym wypieraniu się istnienia "Pax Americana", zmusza do sięgnięcia do *fundamentów* szeroko pojętej kultury politycznej amerykańskiego społeczeństwa.

### 3. Izolacjonizm i "aktywizm".

#### *A. Kilka uwag ogólnych.*

W świecie istnieje powiedzenie, że USA są "*największą konspiracją w historii, która czyni ludzi szczęśliwymi*".

Jest w tym powiedzeniu, obok przesady, bardzo wiele prawdy, o czym świadczy choćby olbrzymia masa ciągle napływających imigrantów z całego świata.

Amerykanie jednak, trudno dokładnie powiedzieć, że większość, gdyż badania opinii publicznej są pod tym względem sprzeczne, właśnie dlatego, że uważają się za szczęśliwych w stosunku do innych narodów, chcą nimi

pozostać, stając się w efekcie *izolacjonistami* w tym czy innym stopniu, co w ubiegłym stuleciu i częściowo w bieżącym, znalazło swoje **silne** odbicie w polityce zagranicznej USA.

Izolacjonizm **nie oznaczał** jednak, że USA stroniły od "*aktywizmu*", "*aktywnego zaangażowania się*" (Active Engagement) w sprawy światowe, ale chodzi nie o wyjątki od zasady, ale samą zasadę.

Korzenie obu tych kierunków sięgają narodzin państwowości amerykańskiej, przypadku szczególnego w nowożytnej historii, kiedy to niemal nagle powstał "niehistoryczny naród", zlepek wielu grup etnicznych oraz wielu wyznań. Bardziej *społeczeństwo* niż naród, zamieszkujące obszar o płynnych granicach, z jednej strony zbuntowane przeciwko swojej europejskiej metropolii, ale z drugiej powiązane z nią silnymi kulturowymi i polityczno-ekonomicznymi więzami. Ten nowy "naród-społeczeństwo", częściowo produkt tradycji wyniesionych ze Starego Świata, a częściowo już lokalnie ukształtowanych, dalekich od jednolitych, choćby ze względu na złożoną ewolucję systemu kolonialnego, w którym powstawał, był tworem **nieznanym** dotąd w historii. Mieszanina kiełkującego kapitalizmu, a nawet odtwarzanego miejscami na wzór europejski feudalizmu czy wreszcie niewolnictwa, rewolucyjny i konserwatywny zarazem, wierzący w swoje "biblijne posłannictwo", ale oddzielający państwo od kościoła, republikańsko-demokratyczny, purytański, ze światłą elitą rządzącą - zasługiwał w pełni na miano Nowego Świata. Siłą rzeczy więc, musiał postępować po *nowatorsku*, nawet jeśli korzystał z doświadczeń innych.

Młoda państwowość amerykańska, wyłaniająca się z 8-letniej zwycięskiej wojny zewnętrznej z potężnym, a jednocześnie duchowo bliskim przeciwnikiem oraz domowej, w której ścierali się probrytyjscy "lojaliści" z amerykańskimi "patriotami" - była zmuszona wypracować *przejrzyste* zasady swojego funkcjonowania. Z zadania tego wywiązano się nadzwyczaj pomyślnie, jako że twórcy amerykańskiej państwowości, erudyci, wyprzedzali myśl polityczną ówczesnego świata albo znali ją na tyle, że łącząc ją z własnymi doświadczeniami, poradzili sobie pomyślnie z budowaniem niezawisłych instytucji państwowo-politycznych. Związała i o postępowym charakterze Konstytucja, odrzucająca "*tyranię i radykalizm*", w połączeniu z szybko wypracowaną przez kierowników młodego państwa amerykańskiego praktyką funkcjonowania państwa, z polityką zagraniczną włącznie, ostatecznie wykrystalizowały *zasady*, które leżały u podstaw Republiki. Mimo różnic poglądów pomiędzy *federalistami* Alexandra Hamiltona, *republikanami* Thomasa Jeffersona oraz prekursorami *izolacjonistów* prezydenta George Washingtona, zasad tych było trzy:

- (1) *siła zbrojna* jest **głównym** środkiem rozwiązywania sprzeczności ze światem zewnętrznym;

- (2) "*oświecony interes własny*" jest **podstawowym** czynnikiem, który powinien określać zaangażowanie kraju w sprawy światowe;

- (3) Stany Zjednoczone są **unikalnym** w świecie krajem, o szczególnej, "*opatrnościowej misji*".

Zasady te, w swoich głównych zarysach wykrystalizowane ok. 1790 r., kiedy kraj - przypominając - liczył ok. 4-mln. mieszkańców, zajmujących obszar równy 1/4 obecnego, były ambitne i śmiałe, jak na istniejące warunki wewnętrzne i zewnętrzne.

Wśród głównych kierunków kształtowania się amerykańskiej polityki zagranicznej, która z czasem mogłaby stworzyć podstawy dla "Pax Americana", na uwagę zasługują *przestrogi* prezydenta George Washingtona, zawarte w jego przemówieniu pożegnalnym z 1796 r., w którym ostrzegał przed "*namiętnym przywiązaniem*" do jednych krajów i "*wieczną nienawiścią*" do drugich.

Washington **wykluczał** zatem kierowanie się w polityce zagranicznej kraju emocjami. Rekomendował natomiast kierowanie się chłodną kalkulacją, interesem własnym kraju, a nade wszystko - jak to ujął w przemówieniu - zasadą "*kultuwowania pokoju i zgodnego współżycia ze wszystkimi narodami*".

Przestrogi te **nie pozostawiały** więc miejsca, przynajmniej teoretycznie, dla żadnego "Pax Americana", świadomie budowanego, zwłaszcza o wyraźnym *hegemonistycznym* profilu.

Realnie podchodząc do możliwości takiej budowy zresztą, USA **nie miały** wtedy na to warunków. Po latach od przemówienia Washingtona, po tzw. drugiej wojnie niepodległościowej z Anglią oraz jej posiadłością kanadyjską w latach 1812-1815, wypowiedzianą przez USA i zakończoną remisowym wynikiem, kraj był ciągle jeszcze *daleki* od mocarstwowej pozycji. W czasach, kiedy w 1815 r. w Europie, po wojnach napoleońskich, tworzone 5-stronny Pokój Wiedeński, Święte Przymierze, USA miały 8-milionową ludność, 2-krotnie większą niż w 1790 r., mieszkającą na obszarze również 2-krotnie powiększonym. Rosja zaś miała wtedy 50-milionową ludność, z wielokrotnie większym obszarem, z Alaską włącznie, równocześnie penetrując też amerykańskie zachodnie wybrzeże do granic Kalifornii. Francja miała 30 milionów ludzi, prawie 30 milionów miała habsburska Austria, Prusy, z coraz bardziej zdominowanymi przez nie krajami niemieckimi, liczyły łącznie 23 miliony, Anglia prawie 20 milionów, bez posiadłości zamorskich, a Hiszpania, dzierżąca w tym czasie jeszcze Florydę, liczyła 13 milionów ludzi.

USA musiały więc liczyć się z realiami ówczesnego świata i wystrzegać się polityki zagranicznej, która mogłaby postawić kraj na kursie kolizyjnym z wielkimi mocarstwami. Tym bardziej, że ich energia koncentrowała się głównie na poszerzaniu granic Unii, poczynając od wykupu ziem od obcych mocarstw, a na podboju ich kończąc, z Meksykiem jako głównym poszkodowanym tych poczynań.

Ostrożność USA nie trwała zresztą długo, gdyż rosnąć w siłę stawały się one coraz pewniejsze siebie. Uwidocznilo się to w posłaniu prezydenta Jamesa Monroe do Kongresu z grudnia 1923 r., które po 30 latach nazwano Doktryną Monroe. Biorąc za punkt wyjścia postępy kolonizacji rosyjskiej na zachodnim wybrzeżu, jak też obawiając się interwencji zbrojnej Świętego Przymierza (bez Anglii) w Ameryce Łacińskiej, wyzwalającej się stopniowo spod hiszpańsko-portugalskiej dominacji, USA miały w myśl posłania *położyć kres* europejskim podbojom na Półkuli Zachodniej.

Krok ten, nie poddany próbie sił przez inne mocarstwa, stał się **pierwszą** oznaką rosnącej mocarstwowości USA, a tym samym ich *aktywnego zaangażowania* się w sprawy światowe.

Nie było jednak jednomyślności w sprawie nowego kierunku polityki zagranicznej, gdyż już wtedy tendencje izolacjonistyczne były silne i wcale **nie było** pewne, który z obu kierunków weźmie górę.

#### B. Izolacjonizm (x).

---

(x) "Izolacjonizm" (isolationism) występuje czasem wymiennie z określeniem "disengagement", "nie podejmowaniem zobowiązań" przez USA wobec innych krajów.

---

Kierunek *izolacjonistyczny* w amerykańskiej polityce zagranicznej, zamykający się do zawołania "America First!", "Najpierw Ameryka!", w rzeczywistości był bardziej złożonym problemem niż wynikało to z jego nazwy. Początkowo bowiem miał on silną bazę wewnętrzną, odziedziczoną jeszcze z czasów przedniepodległościowych, choć określenie "*izolacjonizm*" było pojęciem praktycznie nieznanym. Zależność od metropolii uważano za rzecz normalną, a tym samym za normalne sprawowanie przez nią polityki zagranicznej.

Tak było do przybycia na kontynent amerykański angielskiego liberała Toma Paine, który zaczął głosić korzyści z uzyskania niepodległości. Ale nawet ci, których przekonał (nie on jeden zresztą był głosi-cielem hasła nie-



podległościowych), nie mogli się przekonać do konieczności zawierania sojuszków z obcymi państwami, zwłaszcza z Francją, bez czego rozpoczęta wojna niepodległościowa mogła skończyć się jedynie klęską. Sojusz z Francją klęskę oddalił, co prawda, ale przy okazji ujawniły się jego negatywne strony, co skłoniło George Washingtona, we wspomnianym powyżej pożegnalnym przemówieniu, do zalecania rozwoju stosunków **głównie** handlowych z obcymi krajami.

W tym sensie więc, George Washington stał się **pierwszym** wybitnym izolacjonistą amerykańskim.

Identyczne stanowisko zajął w 1801 r. prezydent Thomas Jefferson, który wzywał do *“pokoju, handlu oraz szczerzej przyjaźni ze wszystkimi narodami”*, a jednocześnie *“nie wikłania się w sojusze z zadanymi”*.

Jeszcze raz powtórzył to prezydent Monroe w swojej Doktrynie.

USA, wychodząc więc na arenę międzynarodową już jako mocarstwo, świadomie **unikaty** sojuszu z kimkolwiek (proponowała go im bezskutecznie Anglia). Monroe wyjaśnił, że *“w wojnach europejskich”*, w których USA nie brały nigdy udziału i *“nie mają powodów w nich brać”*, *nie leży interes kraju*, a zmiana tej polityki może nastąpić **tylko** w sytuacji, *“kiedy jego prawa są naruszone, albo poważnie zagrożone”*. Dopiero *wówczas* powinien on podjąć wysiłki obronne, z zawieraniem sojuszków włącznie.

Polityka izolacjonizmu USA, obejmująca cały XIX wiek oraz znaczną część XX wieku, bynajmniej **nie oznaczała** nie podejmowania różnych działań typu *zaczepnego* poza granicami kraju, kierując się *“oświeconym interesem własnym”* i zachowując *“wolną rękę w działaniu”*, jak to wówczas określano, hasła brzmiące *“strawnie”* dla izolacjonistów.

Przykładów takich działań było wiele. Była nim wojna z Meksykiem w latach 1846-1848, w wyniku której zdobyto dzisiejsze stany Texas, Nowy Meksyk oraz Kalifornię. Innymi przykładami była aneksja Hawajów w 1893 r., wojna z Hiszpanią w 1898 r., po której Kuba, Porto Rico i Filipiny stały się na lata protektoratem USA oraz udział w interwencji zbrojnej przeciwko Chinom w czasie wojny bokserów w 1900 r.

Zbrojne interweniowanie USA w sprawy swoich sąsiadów południowych, to następny rozdział ich historii. Po tym jak Kolumbia odrzuciła ich żądania zrzeczenia się praw suwerennych nad Kanałem Panamskim, USA zaaranżowały tam rewoltę w 1903 r., a następnie sporny obszar zajęły siłą, tworząc jednocześnie Republikę Panamy. Republika Dominikańska z kolei, która zalegała ze spłatą długów wobec USA, została faktycznie przez nie okupowana w 1904 r. przez trzy lata, aż do ściągnięcia należnych sum. Nikaragua w 1911 r. doczekała się przybycia na jej teren oddziałów amerykańskich, które po-

zostały na jej terytorium do 1933 r., strzegąc jej niepodległości przed bliżej *niejasnym* niebezpieczeństwem jakoby zagrażającym jej niepodległości. USA interweniowały też zbrojnie w Meksyku w latach 1914-1921, mieszając się otwarcie do jego spraw wewnętrznych, a Haiti poddały swojej okupacji w 1915 r., powodując liczne ofiary wśród ludności tubylczej, na prawie 20 lat, dla położenia kresu panującej tam anarchii. W 1916 r. interweniowały zbrojnie w Republice Dominikańskiej po raz drugi, okupując ją przez 8 lat.

Amerykański izolacjonizm był więc **względny** pojęciem, w rzeczywistości *“aktywistycznym”*, mającym okresami i miejscami *“imperialne oblicze”*, nawet jeśli był bardziej humanitarny od współczesnych mu imperializmów innych krajów.

Izolacjonizm pozostawał jednak nadal oficjalną polityką zagraniczną USA. Możliwe to było dzięki przynajmniej dwóm powodom.

Pierwszym była postawa amerykańskiego biznesu. Szybko rosnący w siłę, w wyniku ekspansji rynku wewnętrznego, chronionego polityką protekcjonistyczną przed obcą konkurencją, biznes interesował się przede wszystkim *“własnym podwórkiem”* (wyjątkiem były tzw. republiki bananowe, gdzie był bardzo aktywny). Produkty krajowe, głównie żywność oraz surowce, wywoził bez większego trudu na zewnątrz, a kapitał obcy napływał rzeką, wspomagając rodzimy, podczas gdy coraz bardziej wychodzący na zewnątrz kapitał własny - nie natrafiał na przeszkody. Izolacjonizm był więc wtedy *korzystnym* dla biznesu amerykańskiego kierunkiem polityki zagranicznej kraju.

Drugim powodem izolacjonizmu był *brak* zagrożenia zewnętrznego kraju. Wzrastająca potęga USA, w tym wojskowa, odstraszała potencjalnych agresorów. Anglia, jedyny potencjalny agresor, miała z USA przyjazne stosunki (z obawy przed utratą Kanady na ich rzecz, w której USA ją utwierdzały).

Wojnę z Hiszpanią USA wygrały, a na nową, na obcych kontynentach, chęci nie miały. W ówczesnym układzie sił światowych, wojna nie była zresztą dla USA prostą sprawą. Pomijając jej koszty, wymagałaby ona sojuszków, których izolacjoniści nie chcieli.

Sił wewnątrznych zaś, które mogłyby USA wyrwać z izolacjonizmu, zresztą względnego, nie było. Partie republikańska i demokratyczna, gdyż inne nie liczyły się, były izolacjonistyczne. Żadnych innych zaś wpływowych *antyizolacjonistycznych* sił nie było.

Wybuch I wojny światowej *nic* w istniejącej sytuacji nie zmienił. USA, ogólnie sprzyjające Entencie, miały również wiele sympatii, ze względu na liczną mniejszość niemiecką oraz irlandzką, do Państw Centralnych. A po-

nieważ walczyły z Rosją, nie cieszącą się amerykańskimi względami z powodu jej autokratycznych rządów i antysemityzmu, oburzającego wpływów w USA mniejszość żydowską, więc tym bardziej utwierdzały się one w obranej polityce neutralności. Bano się też, że Ententa pokona Państwa Centralne, a prawdziwym zwycięzcą stanie się wtedy tylko Rosja.

Neutralność USA, z przyczyn wspomnianych już w innym miejscu, skończyła się i kraj przystąpił do wojny.

W wyniku tego, prezydent Woodrow Wilson, izolacjonista, przeciwnik wojen, choć nie pacyfista, szcycący się swoją polityką neutralności, która przynosiła mu w kraju popularność, stał się odtąd "aktywistą zaangażowania" USA w sprawy światowe.

Decydująca rola USA w finale wojny, wydawała się więc przesądzać koniec izolacjonizmu. Przodująca już przed wojną pozycja gospodarczo-handlowa i finansowa USA bowiem, umocniła się jeszcze bardziej, podczas gdy pozycja pozostałych wielkich mocarstw uległa poważnemu osłabieniu. Z pozycji dłużnika w świecie, USA przeszły na pozycję wierzyciela, a dolar stał się główną walutą rezerwową świata.

Z ludnością 105-milionową, wobec 62-milionowej w Niemczech, 43-milionowej w Anglii oraz 41-milionowej we Francji, nie wykrawione ponadto wojną USA, miały więc *szanse* na stworzenie "Pax Americana", a biorąc pod uwagę osobowość prezydenta Wilsona, byłyby on najprawdopodobniej typu *pluralistycznego*, a nie *hegemonistycznego*.

Wilson, historyk i politolog, przejęty losem narodów uciskanych, w tym polskim, nie powodując się zemstą wobec pokonanych, a jednocześnie zwolennik szerokiej współpracy międzynarodowej, był *właściwym* człowiekiem dla tego celu, nawet jeśli nie miał takiego zamiarów. Zafascynowany istniejącymi wówczas od lat instytucjami międzynarodowymi, jak Międzynarodową Unią Telegraficzną, Poczta, czy wreszcie Międzynarodowym Czerwonym Krzyżem oraz Stałym Sądem Arbitrażowym, zwanym i istniejącym do dziś Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości, lub Haskim - Wilson chciał pójść dalej. Z wielkim zapałem, wraz z podobnymi mu zwolennikami *pluralistycznej* współpracy międzynarodowej, francuskim politykiem Leonem Bourgeois, angielskim Robertem Cecilem oraz południowo-afrykańskim gen. Janem Smutsem, Wilson zabrał się do tworzenia Ligi Narodów. Nie wszystko w zasadach jej funkcjonowania poszło po jego myśli, ale powstanie takiej instytucji z aktywnym w niej udziałem USA, stworzyłoby w efekcie *pluralistyczny* "Pax Americana", który najprawdopodobniej *uchroniłby* świat przed II wojną światową.

Tak się jednak nie stało i republikańska większość w Kongresie USA

odrzucała wilsonowskie idee "umiędzynarodowienia" kraju, zawracając go do izolacjonizmu. Powody tego były dość liczne. W kraju, głównie dzięki postępowowi technicznemu i organizacyjnemu, koniunktura była dobra. Powojenny świat zewnętrzny zaś, poza niechęcią do niego za nie spłacanie zaciągniętych pożyczek i niemożność płacenia za amerykański import, nie wywoływał żywszego zainteresowania społeczeństwa. Uważano też, że Niemcy zostały Traktatem Wersalskim skrzywdzone, natomiast dla nowych niepodległych krajów w Europie, z Polską włącznie, wielkiej sympatii nie miało, a bolszewicką Rosją, wkrótce ZSRR, po nieudanej tam interwencji zbrojnej, przestano się interesować, nie nawiązując z nią, na wszelki wypadek, stosunków dyplomatycznych

W zbiorowej pamięci Amerykanów zachowały się też okropności I wojny światowej, choć USA poniosły w niej niewielkie straty, co zniechęcało ich do nowej.

W końcu października 1929 r. zaczął się Wielki Kryzys w USA, który, zamiast wyprowadzić kraj z izolacji, pograżył go w niej jeszcze bardziej

Izolacjonizmu nie przełamał początkowo nawet wybuch II wojny światowej. W USA, nie tylko wśród mniejszości niemieckiej, włoskiej, krajów bałtyckich oraz niektórych innych, sympatie dla faszyzmu, nazizmu oraz państw Osi, były dość silne, podobnie jak silne były wśród lewicy oraz mniejszości żydowskiej w stosunku do ZSRR, mimo jego poczynań w Polsce i wojny z Finlandią.

Miarą nastrojów izolacjonistycznych w społeczeństwie było głosowanie w Izbie Reprezentatów 12 sierpnia 1941 r., w dniu kiedy Roosevelt z Churchilllem przyjęli Kartę Atlantyką, która precyzowała cele wojny obu mocarstw i mającej wkrótce powstać koalicji Narodów Zjednoczonych. Tylko *jednym* głosem Izba odrzuciła projekt odebrania rządowi prawa do poboru do służby wojskowej!

Jak potoczyłyby się sprawy dalej, gdyby Japonia podstępnie nie zbombardowała 7 grudnia 1941 r. Pearl Harbor, a państwa Osi nie wypowiedziały USA wojny - nie wiadomo.

Od tego momentu wiadomo natomiast, że izolacjonizm amerykański dokonał raptownego odwrotu, bynajmniej jednak **nie schodząc** ze sceny. Odnosi się nawet wrażenie, że jakby znów zaczął przeżywać renesans. Republikanie, ich konserwatywna, główna część, coraz bardziej zaczyna powracać do zawołania "Najpierw Ameryka!", co znajduje echo w wystąpieniach przedwyborczych czołowego prezydenckiego kandydata George Busha juniora, a jeszcze bardziej w wystąpieniach innego kandydata, Patrick Bucha-

nana, który w swojej poczytnej książce "A Republic, Not an Empire", wyłożył na nowo "ideologię izolacjonizmu". W przypadku załamania się wyjątkowo pomyślniej i długotrwałej koniunktury gospodarczej w USA, izolacjonizm może znów zyskać na popularności, z trudnymi do przewidzenia konsekwencjami dla polityki zagranicznej kraju oraz sytuacji w świecie.

### C. "Aktywizm" (x).

(x) w politycznym słownictwie amerykańskim "aktywizm" nazywa się najczęściej "internacjonalizmem", ale dla polskiego ucha określenie to kojarzy się z ruchem komunistycznym.

"Aktywizm", Active Engagement, *aktywne zaangażowanie* USA w sprawy światowe, od momentu ataku Japonii na Pearl Harbor i wypowiedzenia im wojny przez Niemcy i Włochy - zajęły miejsce **główne** w polityce zagranicznej kraju.

Z "aktywizmem" jednak, nie tak jak z silnie osadzonym w społeczeństwie amerykańskim izolacjonizmem, mającym bardziej "czytelną" podstawę ideową, sprawa jest dość skomplikowana. Jego zawołanie "America the Best!", "Ameryka Najlepsza!", na pozór nie różni się wiele od zawołania izolacjonistów "Najpierw Ameryka!", ale w rzeczywistości jest to **zasadnicza** różnica. Zakłada ono bowiem z góry *wyjątkowość* USA, która daje im prawo do mieszania się w sprawy światowe w "dobrej wierze", chcąc mu pomóc w rozwiązywaniu jego problemów, nierzadko **wbrew** jego woli.

Korzenie "aktywizmu" tkwią bowiem w poważnej mierze sferze *duchowej* społeczeństwa amerykańskiego, przez co są mniej czytelne. Okresowo też, co także odnosi się do izolacjonizmu, "aktywizm" przybierał różne formy. W treści swojej jednak, sięga początków kształtowania się *narodu amerykańskiego*, albo *społeczeństwa amerykańskiego*, jak niektórzy go określają.

Społeczeństwo amerykańskie, rodziło się w warunkach *odmiennych* od tych w Europie, z której się wywodziło. Aczkolwiek etnicznie oraz wyznaniowo już wówczas zróżnicowane, było jednak bardziej *jednorodne* od dzisiejszego, ze względu na swoje niemal wyłącznie anglosasko-protestanckie pochodzenie. Jego elita, odczytana w Starym Testamencie, rzeczywistość interpretowała w jego duchu, widząc nawet wybiecie się na niepodległość jako "palec Opatrzności". Wielki i obfitujący we wszystkie dobra kraj postrzegano jako *Ziemię Obiecaną*, a uprawiających i broniących jej ludzi, jako *Naród Wybrany*.

Poglądy tego rodzaju, rozpowszechnione w rodzącym się narodzie, sprzyjały tworzeniu się duchowych postaw o *dużej sile* nośnej. Poszerzanie granic *Ziemi Obiecanej*, nawet kosztem egzystencji Indian, których ilość szacowano wówczas na 4-17 milionów (dziś jest ich 3 miliony), było w tej sytuacji cnotą, a nie grzechem. Podobnie jak nie widziano nic złego w posługiwaniu się niewolniczą siłą roboczą Murzynów, zwłaszcza że wiązało się to z ich chrztem oraz cywilizowaniem. Swoją cnotliwość z kolei, w którą niezachwianie ten rodzący się naród wierzył, tłumaczono "wyższością" nad "niecnotliwym" człowiekiem. "Wyższość" zaś, nieważne na ile usprawiedliwioną, młody naród łączył ze swoim "*szczególnym posłannictwem*", a w konsekwencji tego powstawał podatny grunt dla rodzenia się *aktywnej postawy życiowej*, pierwszy krok do "aktywizmu", przeciwieństwa izolacjonizmu.

"Aktywizm" był w dużej mierze pochodną silnego kierunku myślowego, określanego w pewnym okresie jako "*Manifest Destiny*", co w języku polskim może oznaczać "oczywiste" lub "opatrnościowe przeznaczenie", pojęcie pokrewne wspomnianemu już "*posłannictwu*".

W praktyce, co najważniejsze, kierunek ten wiązał się z **ekspansją** terytorialną, co w nowopowstałym państwie było zresztą zjawiskiem *naturalnym* w sytuacji jego płynnych granic.

Na tym jednak nie poprzestano. Ekspansjonizmowi terytorialnemu towarzyszyło bowiem głoszenie poglądu o "*wyższości rasy anglosaskiej*", a pastor Josiah Strong w 1886 r. nawoływał nawet swojej książce "Our Country", "Nasz kraj", do poniesienia w świat *siłą* amerykańskiego protestantyzmu, "*religii przyszłości*", synonimu "*moralnego i demokratycznego społeczeństwa*". Współczesny pastorowi historyk i strateg wojskowy, kapitan floty Alfred Mahan, wzywał nawet do *okupowania* obcych portów, położonych przy ważnych szlakach morskich. Theodore Roosevelt, późniejszy prezydent, w 1897 r. głosił z kolei, że wojna jest "*pożyteczna*", gdyż "*jednoczy kraj*" oraz *odwraca* jego uwagę od "*niepotrzebnych spraw*", a nade wszystko wyrabia szereg "*pozytywnych cnót*" u młodych mężczyzn.

"Opatrznościowe przeznaczenie", Manifest Destiny, nadające ekspansji terytorialnej sankcji faktycznie "*boskiego błogosławieństwa*", po raz pierwszy pojawiło się jako słowo drukowane w 1845 r., usprawiedliwiając przyłączenie Teksasu do Unii. W rzeczywistości, "*przeznaczenie*", wtedy jeszcze nie ujęte w hasło-formułę, było w praktyce i na wielką skalę stosowane za prezydentury Andrew Jacksona w latach 1829-1837, kiedy to osadnicy ciągnęli masami na zachód i południe dla zagospodarowania nowych ziem, po drodze bezwzględnie łamiąc opór Indian.

Korzeni "*przeznaczenia*", "*aktywnej misji*", pierwowzoru dzisiejszego



“aktywizmu”, “aktywnego zaangażowania się” USA w sprawy światowe, niektórzy dopatrują się w jeszcze wcześniejszych czasach, we wskazówkach i działaniu Founding Fathers, Ojców Założycieli republiki.

Max Lerner, autor dzieła “America as a Civilization” (“Ameryka jako cywilizacja”), “przeznaczenie”, Manifest Destiny, nazywa “racjonalizacją” ekspansji terytorialnej, “głodu ziemi”, “głodu władzy”, “głodu zysku”, a wreszcie “głodu wielkości”.

Wraz z upływem czasu, z postępowaniem imigracji, obejmującej na coraz większą skalę ludy nieanglosaskie oraz nieprotestanckie, jak też rosące równouprawienie Murzynów, tendencje do “opatrznościowej wyjątkowości” Amerykanów anglosaskiego i protestanckiego pochodzenia, WASP-ów (White, Anglo-Saxon, Protestant), zaczęły ulegać głębokim przemianom, na rzecz innych grup etnicznych i wyznaniowych, szczególnie żydowskiej.

Wszystko to byłoby jednak daleko *nie wystarczające* dla pchnięcia USA na drogę “aktywizmu”, gdyby nie zostały wciągnięte w II wojnę światową. O ile I wojna światowa nie zdołała w USA złamać izolacjonizmu na dłuższej niż 3 lata, to II wojna światowa złamała go co najmniej na dziesięciolecie.

USA, tym razem, nie tak jak po I wojnie światowej, skorzystały z kolejnej “okazji historycznej”, mając w dodatku lepsze warunki startu. Kraj, 140-milionowy w końcu wojny, z monopolem na broń nuklearną, z produkcją 2,5-krotnie większą niż przed wojną, równą prawie 1/2 światowej, z 90-cioma procentami światowych rezerw złota, ze swobodnie wymienialnym na złoto dolarem, z konkurentami jak Niemcy i Japonia w gruzach, a pozostałymi ledwie wiążących koniec z końcem - miał **wszelkie** niezbędne warunki do przeprowadzenia ludzkości.

Hans J. Morgenthau, wpływowa w USA osobistość, w swojej książce “A New Foreign Policy for the United States” (“Nowa polityka zagraniczna dla Stanów Zjednoczonych”), pisał w 1961 r., że USA “*mają kategorię obowiązków pomagania mniej uprzywilejowanym ludom w osiągnięciu szczęśliwości, będącej udziałem Amerykanów*”.

Postulat Morgenthau, o “aktywistyczno-misyjnej” treści, faktycznie o *hegemonistycznym* wydźwięku, nie był w tym czasie już **żadną** nowością, a jedynie uogólniał to co USA już czyniły od lat. Różnica polegała jedynie na tym, że pomoc USA “*mniej uprzywilejowanym ludom*” nie ograniczała się jedynie do humanitarnej. W rzeczywistości zresztą, pomoc USA dla “nie-uprzywilejowanych ludów” jest dziś *znikoma* w porównaniu do ich możliwości, wynosząc zaledwie 1/10 zalecanej przez ONZ sumy (kierowana głównie do Izraela, który w dochodach na głowę dochodzi do amerykańskiego poziomu, nie kwalifikując się tym samym do żadnej pomocy).

Nie to jednak jest najważniejsze, a głoszona przez Morgenthau idea “*misji amerykańskiej*” w świecie.

“Misje” zaś, odmiana *mesjanizmu*, różnych “*wyższych racji*”, mają to do siebie, że prowadzą **nieuchronnie** ich nosiciele do wmawiania sobie *wyjątkowości* w świecie.

Przekonanie takie, co gorsza, jest dziś już głęboko zakorzenione w kołach kierowniczych kraju, zwłaszcza w ich części wykonawczej, tworząc grunt dla “*aktywnego zaangażowania się*” USA w sprawy wewnętrzne innych krajów. Dowodem tego niech będzie fakt, że USA, od uchwalenia w listopadzie 1973 r. War Powers Act, ustawy *zabraniającej* prezydentowi (czego on nie uznał) używania sił zbrojnych do interwencji w świecie bez uprzedniej zgody Kongresu, sięgnęły do nich aż 65 razy!

Najważniejszą jednak podstawą dla “aktywizmu” USA w świecie jest *wspólnota interesów* różnych instytucji i odłamów społeczeństwa.

Pierwszym reprezentatem tej “wspólnoty” jest dziś Wielki Biznes, główna siła sprawcza procesu “globalizowania się”, a faktycznie *amerykanizowania*, gospodarki światowej, domagająca się “**aktywnego zaangażowania**” państwa w sprawy międzynarodowe. Wielki Biznes żąda zapewnienia mu przez państwo bezpieczeństwa *swobodnego* działania w świecie. A ponieważ jego żądanie jest zbieżne z interesem państwa jako całości, gdyż USA są dziś *największym* dłużnikiem świata (dług zewnętrzny przekroczył 2 bln. dol. w 2000 r.), nadal zadłużając się w szybkim tempie, więc żądaniom nadstawia się przychylnego ucha. Dopóki bowiem jest jak jest i świat toleruje istniejący stan rzeczy, co wynika ze *szczególnej* w nim roli USA, korzyść jest wspólna dla państwa i biznesu, gdyż ich dobrobyt i pomyślna koniunktura są w znacznym stopniu *subsydiowane* przez inne narody. A jest to możliwe tylko dlatego, że amerykański Wielki Biznes, przede wszystkim jego *finansowo-bankowa* część, z dolarem o niemal *monopolistycznej* pozycji w rozliczeniach międzynarodowych, zdobył **dominującą** pozycję w świecie, głównie dzięki “aktywistycznemu” kursowi w polityce zewnętrznej jego kraju.

Obie strony, rzecz oczywista, są zatem zainteresowane w *utrzymaniu* tego kursu.

A że w przeciwieństwie do postulatów Morgenthau, żeby USA pomagały “mniej uprzywilejowanym narodom”, akurat dzieje się odwrotnie, to w niczym *nie podważa* to zasadności “aktywizmu”. Przeciwnie, zamiast *misyjno-moralizatorskiej* jego podstawy ma wymierną *korzyść materialną* dla jego nosicieli, tym samym **solidniejszą** od wszystkich innych.

Drugim reprezentantem omawianej *wspólnoty interesów* są siły zbrojne oraz inne agencje państwowe odpowiedzialne za zewnętrzne bezpieczeństwo

kraju.

W sytuacji *nie ukrywania* przez USA, że *nie będą* one tolerować narodzin nowego i nieprzyjaznego mocarstwa oraz wszelkiej innej działalności skierowanej przeciwko ich "żywo*tnym interesom narodowym*" - polityka "aktywizmu" ma nie tylko poparcie tej części "wspólnoty", ale jest ona jej **głównym** nosicielem.

Trzecim wreszcie reprezentantem "wspólnoty", w znacznym stopniu zintegrowanym z pozostałymi dwoma, jest bardzo wpływowa w USA mniejszość żydowska. Od momentu zakończenia II wojny światowej i powstania Izraela jest ona żywo zainteresowana w "aktywizmie" USA, zwłaszcza w tej jego części, która służy jego interesom oraz ochronie mniejszości żydowskiej w innych krajach świata.

W pojedynku izolacjonizm-aktywizm zatem, ten drugi, przynajmniej na razie, wyszedł **zwycięską** ręką.

#### 4. Ratalne narodziny "Pax Americana".

##### *A. I rata narodzin.*

W świetle powyższych wywodów na temat narodzin "Pax Americana" staje się oczywiste, iż proces ten był złożonym problemem.

Narodzin nie zapowiadało na przykład, wystąpienie prezydenta Truman 14 stycznia 1946 r. w Kongresie, który oświadczył, że "wszystkie nasze nadzieje pokładamy we fladze Narodów Zjednoczonych".

Nie w amerykańskiej fladze - rzecz godna uwagi - ale Narodów Zjednoczonych. Tego rodzaju oświadczenie, głównego twórcy "Pax Americana", jakby więc *wykluczało* jego narodziny.

Dziś już wiadomo jednak, że nie żaden "oenetowski pokój-ład" narodził się po II wojnie światowej, ale "amerykański pokój-ład", choć na początku 1946 r. nawet Trumanowi wszystko mogło jeszcze wydawać się inaczej.

Za pierwszą jaskółkę nadchodzącego *ratalnego porodu* "Pax Americana", gdyż nie był to akt jednorazowy, w jego *pluralistyczno-hegemonistycznym* wydaniu, można uznać spotkanie na szczycie Roosevelt-Churchill na okręcie wojennym u brzegów Nowej Funlandii, rezultatem czego była Karta Atlantycka z 14 sierpnia 1941 r., w której, ciągle jeszcze neutralne USA, wyłożyły cele swojej polityki zagranicznej w przypadku przystąpienia do wojny.

Zapowiedź wyjścia USA z izolacjonizmu i przejścia na "aktywne zaangażowanie" w sprawy światowe, było aktem *poczęcia* "Pax Americana", choć

podobnie jak jego poród, aktem na raty, gdyż drugim, już bardziej konkretnym, było powołanie do życia 1 stycznia 1942 r., z inicjatywy USA, wspomnianego już w innym miejscu Sojuszu Narodów Zjednoczonych (Roosevelt był autorem określenia "Narody Zjednoczone").

USA jednakże, po przystąpieniu do wojny, za prawdziwy sojusz uważały nie Narodów Zjednoczonych, ale Wielkiej Trójki, a na codzień tylko amerykańsko-angielskiej Dwójki, gdyż z ZSRR żadnej bliższej współpracy wojсковej nie udało im się nigdy ustanowić.

Nie było więc pewne czy po wojnie USA wyjdą poza ten wąski krąg, aczkolwiek fakt, że wyszły z ideą Narodów Zjednoczonych, świadczył jakby o ich decyzji **zerwania** z izolacjonizmem.

Roosevelt, jeśli już był zwolennikiem stworzenia jakiegoś "Pax Americana", a nic konkretnego na ten temat nie wiadomo, to zapewne typu *pluralistycznego*, ale *ekskluzywnego* w swoim składzie, o czym świadczyła jego koncepcja "czterech policjantów", rozszerzona potem do pięciu, amerykańskiego, sowieckiego, angielskiego, chińskiego oraz francuskiego, zasiadających jako *stali* członkowie, z prawem *veta*, w Radzie Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych. Idea, faworyzująca *wielkie* mocarstwa, była *pluralizmem* dość osobliwej natury, ale było to lepsze niż nic (tak zresztą było również w Lidze Narodów, gdzie wielkie mocarstwa, stali członkowie Rady, były "równiejsze" od pozostałych członków Ligi).

Życie przekreśliło jednak wizję rooseveltońskiego świata, nawet "*partnerskiego koncertu wielkomocarstwowego*" w przyszłym formalnie *pluralistycznym* ONZ.

Tworzenie "systemu ONZ", jak go nazywano, choć USA pozostały głównym jego propagatorem, wyszło **poza** ich pełną kontrolę, gdyż do sprawy włączył się również ZSRR, co znalazło swój spektakularny wyraz w Deklaracji Moskiewskiej z 30 października 1943 r., w której sygnatariusze, USA, ZSRR, Anglia oraz Chiny, zapowiedziały zastąpienie Ligi Narodów przez Organizację Narodów Zjednoczonych. Przedstawiciele Wielkiej Czwórki, nadal jeszcze bez Francji, spotkali się następnie we wrześniu-październiku 1944 r. na Konferencji Dumbarton Oaks, gdzie opracowali projekt, uzupełniony następnie w Jałcie na spotkaniu Roosevelt-Stalin-Churchill w lutym 1945 r., Karty Narodów Zjednoczonych, której ostateczny tekst przyjęto 26 czerwca 1945 r. na konferencji założycielskiej Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Roosevelt już nie żył i nie wiadomo czy byłby zadowolony ze swojego dzieła, pełnego różnych osobliwości, jak uznanie za pełnych członków ONZ, obok ZSRR, także republik białoruskiej i ukraińskiej (na co zresztą zgodził

się przed śmiercią). System ONZ nie tylko został "rozwodniony" działaniami ZSRR przed i po jego powstaniu, ale też działaniami USA. Na ich wniosek, do Karty Narodów Zjednoczonych włączono bowiem Art. 51, którego dowolna interpretacja czyni ją praktycznie **bezprzedmiotową** w niektórych sytuacjach. Wynikło to stąd, że USA, chcąc zachować swoją swobodę działania na Zachodniej Półkuli, Artykuł 51 sformułowały w takim brzmieniu, że *dopuszcza* on bliżej nie skonkretyzowane "indywidualne oraz kolektywne prawa do samoobrony krajów członkowskich ONZ" **poza** jej ramami, aczkolwiek Rada Bezpieczeństwa, na wypadek podjęcia tego rodzaju działań, ma być o nich "*odpowiednio informowana*" (to samo USA próbowały przeforsować w 1919 r. w Karcie Ligi Narodów, ale bezskutecznie).

Możliwość *obejścia* Karty NZ, do czego zresztą nawoływał już wkrótce Churchill w swoim wystąpieniu w Fulton, stworzyła **niebezpieczną** "furtkę" na przyszłość. Wojna powietrzno-rakietowa NATO przeciwko Jugosławii z wiosny 1999 r., rozpoczęta z pominięciem Rady Bezpieczeństwa, była właśnie interpretowana przez jego członków jako *zgodna* z Art. 51 Karty NZ.

System ONZ, w swoich założeniach mający skutecznie działać, stał się w efekcie **niezdolnym** do wykonywania powierzonych mu zadań. Cytowana powyżej wypowiedź prezydenta Trumana, zapewniającego Kongres, że USA będą działać "pod flagą ONZ", była więc pustosłowiem. Występ zaś USA pod flagą ONZ w czasie wojny koreańskiej w ponad 4 lata później był raczej dziełem przypadku (ZSRR, od stycznia 1950 r., protestując przeciwko nieobecności komunistycznych Chin w Radzie Bezpieczeństwa, nie uczestniczył w jej pracach. Stąd USA mogły bez obawy sowieckiego weta przeforsować swój wniosek na jej forum o użycie wojsk ONZ, które były głównie ich wojskami, do odparcia agresji północnokoreańskiej).

"Pax Americana" zatem, najpierw w *ONZ-owskim wcieleniu*, autentycznie zaczął się rodzić. *Wcielenie* przejawiało się w tym, że USA zwołały u siebie, w San Francisco, założycielską konferencję tego forum, zgodziły się pokrywać 1/4 jego budżetu, oferując mu równocześnie kwaterę w Nowym Jorku. Wreszcie, mając początkowo większość w Zgromadzeniu Ogólnym, co ZSRR określał "amerykańską maszynką do głosowania", USA niewątpliwie wywierały wpływ na sprawy światowe poprzez to forum. Dopiero kiedy forum to zaczęło obracać się przeciwko USA, a zwłaszcza Izraelowi, wtedy dopiero USA zmieniły swoje podejście do niego.

"System ONZ" nie ograniczał się jednak tylko do Rady Bezpieczeństwa oraz Zgromadzenia Ogólnego. Instytucjami nie mniej ważnymi od tych dwóch, a nawet ważniejszymi, były jeszcze dwie inne, głównie amerykańskiego pomysłu, choć przy współpracy z Anglią, a mianowicie Międzynarodowy Fun-

dusz Walutowy oraz Bank Światowy, które utworzono jeszcze przed powołaniem do życia ONZ, w lipcu 1944 r., w trakcie trwania wojny. W tych dwóch ostatnich instytucjach, zwiastujących rodzenie się "Pax Americana", *zaznaczył się* bardziej jego *hegemonistyczny* niż *pluralistyczny* profil ze względu na przyjęcie systemu *głosów ważonych*, w zależności od wnoszonych wkładów, obowiązującego do dziś i dającego USA możliwość stosowania **weta** przy podejmowanych decyzjach. Odejście od zasady *jeden kraj - jeden głos* było jednakże w tym wypadku zrozumiałe. Ponad 90 procent monetarnego złota w świecie znajdowało się wtedy w USA, a wymienny dolar był traktowany *na równi* ze złotem. USA, podpierając dolarem tworzony system walutowy, musiały więc mieć w nim **decydujący** głos. USA były również **jedynym** wówczas krajem, który mógł udzielać pomocy kredytowej na warunkach ulgowych.

Trzecia instytucja, którą miała być światowa organizacja handlowa, nie ujrziała światła dziennego, choć USA były głównym jej autorem, ze względu na sprzeciw ich własnego Senatu, zastąpiono ją rozwiązaniem pośrednim, w formie utworzonego we wrześniu 1947 r. GATT, Układu Ogólnego o Taryfach Celnym i Handlu, który dopiero w 1994 r. doczekał się zamiany na WTO, Światową Organizację Handlową. GATT, podobnie jak dwie powyższe instytucje, był pod faktyczną **dominacją** USA, aczkolwiek nie było w nim *ważonych* głosów.

## B. II rata narodzin.

Przypada ona na lata 1947-1949, podobnie jak I rata rozłożona w czasie.

Złożyły się na nią 3 wydarzenia, wspomniane już poprzednio, a mianowicie Doktryna Trumana z marca 1947 r., Plan Marshalla z czerwca tegoż roku, a wreszcie utworzenie NATO w kwietniu 1949 r.

Na szczególną uwagę wśród tych trzech wydarzeń zasługuje NATO. USA nie ukrywały, że nowotworzona instytucja, do dnia dzisiejszego **najważniejsza** w "Pax Americana", mimo jej ogólnej *pluralistycznej* formy, będzie typu *hegemonistycznego*. Skoro już gotowe były bronić Europy Zachodniej, ryzykując własnym bezpieczeństwem, a nade wszystko, stanowiąc główną siłę w Sojuszu, to **nie** za darmo. Wyłączność posiadania w NATO broni nuklearnej, dokąd Anglia z Francją nie miały własnej, mikroskopijnych rozmiarów zresztą, z góry zapewniała **dominację** USA, czego nawet inni jego członkowie nie kwestionowali (szczególnie przejawia się to w NPG, Nuclear Planning Group, Grupie Planowania Nuklearnego NATO).

Logicznie więc - powtarzając to jeszcze raz - *amerykanizacja NATO*



była nie do uniknięcia. Znalazło to swój wyraz w mianowaniu w grudniu 1950 r. amerykańskiego oficera, którym był gen. Eisenhower, pierwszym głównodowodzącym Sojuszu, odtąd już *niezmienna* tradycja (Sekretarzem Generalnym NATO natomiast, nigdy nie był obywatel USA, ale jest to funkcja raczej tytularna. Ważniejsza jest Rada NATO, stały jego organ, na szczeblu ambasadorów, a okresowo na szczeblu szefów państw i rządów, gdzie decyzje zapadają jednogłośnie, ale w praktyce zapadają *zawsze* zgodnie z życzeniami amerykańskimi).

### C. Rola prezydenckich Doktryn w narodzinach "Pax Americana"

Rodzenie się "Pax Americana", jak to wynika z powyższych wywodów, wiąże się ściśle, jeśli nie wyłącznie w okresie po II wojnie światowej, w wyniku *inicjatyw* prezydenta USA.

Konstytucja USA, uznawana powszechnie za kunszt myśli polityczno-prawnej, w rzeczywistości jest miejscami *kłopotliwa* w praktycznym zastosowaniu, nie rozgraniczając wyraźnie wzajemnych uprawnień władzy wykonawczej i ustawodawczej. Szczególnie dotyczy to polityki zagranicznej kraju, która wymaga *szybkiej* decyzji. Prezydent, odpowiedzialny za bezpieczeństwo kraju, którego polityka zagraniczna jest częścią, dąży w tej sytuacji do *maksymalnej* swobody działania na tym odcinku, co przejawia się nieraz w formułowaniu "doktryn prezydenckich".

Doktryny prezydenckie przybierają różne formy i treść, a ich autorzy *nie nazywają* je tak z góry. Dopiero z czasem, jak to było ze wspomnianą już Doktryną Monroe, po 30 latach, ktoś inny nadaje im takie miano (najczęściej środki masowego przekazu).

Od Doktryny Monroe, faktycznie pierwszej, która zaczęła tworzyć *regionalny* "Pax Americana", bardzo długo nie było następnej.

Nigdy, na przykład, nie było Doktryny Wilsona, choć prezydent Wilson próbował tworzyć *pluralistyczny* "Pax Americana" poprzez Ligę Narodów, nie mówiąc już o innych jego działaniach na odcinku polityki zagranicznej kraju.

Nie było też Doktryny Roosevelta, aczkolwiek prezydent Roosevelt próbował tworzyć *pluralistyczny* "Pax Americana" poprzez Organizację Narodów Zjednoczonych, nie mówiąc już o innych jego inicjatywach o treści międzynarodowej.

O Doktrynie Trumana z 12 marca 1947 r., podobnie jak innych jego decyzjach, nie zawsze związanych z jego nazwiskiem, a które przyczyniły się

do ratalnych narodzin "Pax Americana", już wspomniano w innym miejscu.

Doktryna Eisenhowera z 5 stycznia 1957 r. była następną, po tym jak prezydent Eisenhower zwrócił się do Kongresu z propozycją, akceptowaną w formie rezolucji przez Izbę Reprezentantów, ale nie przez Senat, sięgania do sił zbrojnych w przypadku dojścia do "inspirowanej przez komunistów agresji" na Bliskim Wschodzie. Nie bardzo było wiadomo o co chodziło, gdyż nigdy do niczego podobnego tam nie doszło, ale ważne było, że "Pax Americana", po tym jak faktycznie objął całą Półkulę Zachodnią, Europę Zachodnią, Japonię, Koreę Południową oraz Oceanię - zaczął odtąd obejmować *również* Bliski Wschód.

Doktryny Kennedy'ego, o dziwo, nie było, choć powinny być, nawet dwie. Pierwszą powinna być zapowiedź w Kongresie 25 maja 1961 r. - przypominając to jeszcze raz - że przed upływem 10-ciu lat Amerykanie wylądują na Księżycu, co istotnie stało się faktem, wzmacniając prestiż USA w świecie.

Drugą powinna być, zawarta w tym samym przemówieniu, o tragicznych dla USA konsekwencjach, po tym jak Kennedy mówiąc, że "*trwa walka pomiędzy wolnością a tyranią*" w różnych miejscach globu, a "*Wietnam jest tego głównym przykładem*", ogłosił faktycznie "doktrynę wietnamską", której wprowadzanie w życie skończyło się dla kraju przegraną wojną, *pierwszą* w jego historii.

Doktryny Johnsona nie było.

Była natomiast "ratalna" Doktryna Nixona, zwana również Doktryną z Guam, z 25 lipca 1969 r., następnie bliżej sprecyzowana 3 listopada tegoż roku oraz 18 lutego 1970 r.

Doktryna, mimo improwizowanej formy jej prezentacji przez prezydenta Richarda Nixona, była ważnym wydarzeniem. Składała się z 3 punktów, gdzie pierwszy mówił o *dotrzymywaniu* przez USA podjętych zobowiązań międzynarodowych, drugi o *obronie* sojuszników "przed mocarstwem nuklearnym", aluzja do ZSRR, ale i o *uwarunkowaniu* takiej obrony "uprzednim wysiłkiem obronnym" samych sojuszników. Mogło to w praktyce oznaczać *uchylenie się* USA od obrony sojusznika, jeśli w ich pojęciu miałby on lekceważący stosunek do samoobrony.

Prezydent Gerald Ford żadnej doktryny nie ogłosił, ale jego następca, prezydent Jimmy Carter, w dorocznym posłaniu do Kongresu z 23 stycznia 1980 r., ogłosił Doktrynę Cartera, która region Zatoki Perskiej uznała za *integralną* część bezpieczeństwa USA, zapowiadając użycie siły dla jego obrony.

"Pax Americana", w następstwie tej Doktryny, objął kolejny region świata - Zatokę Perską.

Doktryna Reagana, o dość skomplikowanym rodowodzie, była kolejną.

Pomijając już sięganie swoimi korzeniami do zarania powstania USA, do ich "misyjnej roli" w świecie, Ronald Reagan, jeszcze w czasie prezydenckiej kampanii wyborczej w 1980 r., jak też po jej zwycięskim finale, nawiązywał w swoich wystąpieniach publicznych do różnych koncepcji politycznych, zwłaszcza wilsonowskich, które następnie ujął, 11 lutego 1985 r., w jedną całość, w Doktrynę Reagana.

Sprowadzała się ona do takich haseł, jak "naszą misją jest podtrzymanie wolności i demokracji oraz ich obrona" oraz poparcie dla tych wszystkich, którzy "na każdym kontynencie, od Afganistanu do Nikaragui", stawiają czoła sowieckiej agresji. Na końcu znalazło się wezwanie do "zabezpieczenia swoich od urodzenia posiadanych praw" oraz udzielania "poparcia dla bojowników o wolność", gdyż jest to "naszą samoobroną".

Doktryna Reagana, której niektórzy ludzie w świecie, Polacy w szczególności, przypisują klęskę komunizmu, w USA spotkała się z głąką reakcją. Po klęsce w Indochinach społeczeństwo miało dość zbrojnych interwencji w świecie. A to, że Reagan udział USA w wojnie indochińskiej nazwał "szlachetną sprawą" - niewiele pomogło. Aż 3/4 społeczeństwa uważało nadal ten udział za "zasadniczo błędny i niemoralny".

Doktrynie nie pomogło niefortunne zaangażowanie się USA w misję pokojową w Libanie, gdzie 23 października 1983 r., w wyniku samobójczego ataku terrorystycznego, zginęło 241 piechurów morskich (w pół roku później USA wycofały się z misji).

W przełamaniu negatywnej opinii o misjach podobnego rodzaju nie pomogły próby angażowania kraju w tzw. konflikty o niskiej intensywności, angażujące niewielkie oddziały amerykańskich sił specjalnych. Obawy przed przerodzeniem się takich działań w większą wojnę były bowiem ciągle zbyt silne. Nie cieszyły się one również poparciem kół wojskowych, a nawet Sekretarza Stanu George Shultza. Rzeczą o wiele ważniejszą było także to, że funkcjonowanie Doktryny w praktyce prowadziło do pożałowania godnych ekscesów, zwłaszcza w Ameryce Środkowej, El Salvadorze głównie, co tylko dodatkowo wzmacniało jej krytykę. W Afganistanie, co prawda, Doktryna wydawała się działać, ale dziś trudno stwierdzić czy do końca wojny nie przyczyniła się tam bardziej nowa polityka sowiecka po dojściu do władzy Gorbaczowa.

Wspominany już w innym miejscu "aktywizm" USA natrafiał więc okresowo na opory i nie tylko społeczeństwa, ale także części kół rządzących.

Jaki był więc wpływ powyższych Doktryn, poza Doktryną Trumana i jego inną działalnością na ratalne narodziny "Pax Americana" - trudno dokładnie określić. Z całą pewnością, jak to było w przypadku Doktryny Eisen-

howera oraz Doktryny Cartera - rozciągały one obszar działania "Pax Americana". W pozostałych przypadkach sprawa jest jednak *mniej* oczywista.

Podchodząc jednak do wszystkich wspomnianych Doktryn od innej strony, absolutnie **wszystkie** z nich były wyrazem rosnącego "aktywizmu" USA w polityce zagranicznej, a nie powrotu do izolacjonizmu. W tym sensie były one **wsparciem** dla "Pax Americana".

Na Doktrynie Reagana na razie był koniec, dokąd nie pojawił się bushowski "nowy ład światowy", nie nazwany jednak **niegdą** Doktryną Busha, a następnie aż dwie Doktryny Clintona.

#### D. Niedoszła III rata narodzin.

Powracając do ratalnych narodzin "Pax Americana", kolejną ratą mógł być, ale nie był, wspomniany "Bushowski ład".

Choć nie-Doktryna i szybko zapomniany, nawet przez jego autora, "ład" zasługuje jednak na uwagę, gdyż w innych okolicznościach mógł on mieć **zasadniczy** wpływ na dalsze losy "Pax Americana".

Historycznie, pierwszą osobistością, która na przełomie lat 1980-ch i 1990-ch użyła określenia "nowy ład światowy", był Michaił Gorbaczow, sowiecki przywódca w latach 1985-1991. We wspomnianym już w innym miejscu jego wystąpieniu z grudnia 1988 r. w ONZ oświadczył on mianowicie, że "dalszy postęp w świecie, prowadzący do nowego ładu światowego, możliwy jest tylko poprzez poszukiwanie powszechnego porozumienia pomiędzy ludźmi".

Gorbaczow jednakże, do tematu "nowego ładu" już więcej nie powrócił.

Formalnie, "nowy ład światowy", nie najnowszej daty, zawarty był w Kartcie Narodów Zjednoczonych, na którą mało kto zwracał uwagę w okresie "zimnej wojny". Sfera bardzo ważnych stosunków Wschód-Zachód była wówczas jakoś "uładzona" w helsińskim Akcie Końcowym z 1 sierpnia 1975 r.

Wychodzenie więc z jakimiś "nowymi ładami" w sytuacji, kiedy tamte formalnie były w mocy, było zadaniem nietrywialnym czy to dla Gorbaczowa czy dla Busha. Problemem było raczej przestrzeganie już istniejących "ładów", co Gorbaczowa, z powodów już wkrótce oczywistych, przestało interesować.

Nie przestało jednak interesować Busha, który, wychodząc ze względnie skonkretyzowaną ideą "nowego ładu światowego" na forum Kongresu USA w dniu 11 września 1990 r., wypisał mu nieco przedwczesną metrykę urodzenia.

Najprostszym wówczas zadaniem dla Busha byłoby *uaktualnienie* Karty

Narodów Zjednoczonych, a zwłaszcza *wyposażenie* jej w instrumenty zdolne do realizacji zawartych w niej celów, ale dla męża stanu tego szczebla - było to niemożliwe. Karta zawiera bowiem 111 szczegółowych artykułów, których żaden polityk wyższego szczebla nie zna w całości i nie będzie wychodził ze skonkretyzowanymi propozycjami ich nowelizacji.

Jeszcze mniej wdzięcznym zadaniem byłaby próba, zwłaszcza w trakcie wydarzeń we "wspólnocie socjalistycznej", wnoszenia czegokolwiek nowego do helsińskiego Aktu Końcowego.

Wyjściem z tej sytuacji mogło być jedynie rzucenie jakichś nowych idei, luźno sformułowanych, ale jednocześnie maksymalnie czytelnych, które stworzyłyby podstawy wyjściowe do dyskusji nad "nowym łaodem światowym".

Bush tak właśnie postąpił. Doświadczony polityk i dyplomata, weteran II wojny światowej, człowiek prawy i o "czystych rękach", Bush miał niewątpliwie wszelkie atrybuty do wychodzenia ze światoburczymi pomysłami. Z drugiej strony jednak, Bush, prawdopodobnie ze względów zdrowotnych, znany był z "szybkich reakcji", rozstrzygając najbardziej złożone problemy po krótkim tylko namyśle.

Ogólne założenia swojego "nowego ładu" Bush miał prawdopodobnie wstępnie przemyślane, wychodząc z nimi po raz pierwszy w przemówieniu z 12 maja 1989 r. na uczelni A&M w Teksasie. Z jakichś względów jednak, swoich idei nie odniósł bezpośrednio do pomysłu tworzenia "nowego ładu". Co się zaś tyczy idei, to Bush dał wówczas do zrozumienia, że USA chciałyby widzieć w ZSRR nie przeciwnika, ale partnera w rozwiązywaniu problemów światowych, zwłaszcza w przypadku wspólnego reagowania na akty agresji.

Wątku tego Bush długo potem nie rozwijał, choć sprawom stosunków z ZSRR poświęcał, spośród wszystkich spraw międzynarodowych, najwięcej uwagi. Jego spotkanie z Gorbaczowem na Maltzie w dniach 2-3 grudnia 1989 r., gdzie możliwość narodzenia się *partnerskich* stosunków pomiędzy obu supermocarstwami zaznaczyła się już wyraźnie, jakoś nie posłużyło mu za powód nawiązania do wspomnianego wątku sprzed ponad pół roku. Ze względnie rozwiniętą koncepcją "nowego ładu", Bush wyszedł dopiero znacznie później, a okazją do tego była *nie* sfera stosunków Wschód-Zachód, wtedy ciągle jeszcze najważniejsza w świecie, ale agresja Iraku przeciwko Kuwej-towi w dniu 2 sierpnia 1990 r.

Bush był zaskoczony pozytywnymi wynikami rozmów Baker-Szeward-nadze, szefów dyplomacji obu supermocarstw, omawiających iracką agresję. Dowiadując się, że ZSRR nie tylko jej nie popiera, ale jest gotów *współdzia-łać* z USA na rzecz odwrócenia jej skutków, Bush postanowił sprawom usta-

nowienia *partnerskich* stosunków pomiędzy obu supermocarstwami nadać rozmachu. W zamiarze tym umocniło go następnie spotkanie z Gorbaczowem 9 września 1990 r. w Helsinkach, na którym "temat iracki" dominował. Fakt, że ZSRR, którego Irak był w znacznym stopniu "podopiecznym", nie wykazywał chęci przyjścia mu z pomocą w przypadku ewentualnej konfrontacji z USA, ani nawet jej blokować w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, był dla Busha niespodzianką. Szybko następujące zmiany w tradycyjnym stanowisku ZSRR, zachęciły go więc do wspomnianego powyżej wyjścia z ideą "nowego ładu".

Osią jego wystąpienia było osiągnięcie z Gorbaczowem *wspólnego* stanowiska w sprawie irackiej podczas szczytu w Helsinkach, gdzie obaj uznali za *niedopuszczalne* "połykanie" państw słabszych przez silniejsze.

Wychodząc z tych przesłanek, Bush sformułował 5 zasad, na których miałyby opierać się "nowy ład światowy".

Zaprezentowane przez Busha zasady, nie ujęte w punkty i bez rozwiniętej interpretacji, rzecz nieunikniona w 20-minutowym przemówieniu, nie wywołały jednak w USA i w świecie należnego im zainteresowania. Słabe echo tłumaczyć można także tym, że szef ówczesnej dyplomacji amerykańskiej, James Baker, ideą "nowego ładu" nie interesował się w ogóle. Brak aktywności Departamentu Stanu w tej sprawie, jak i środków masowego przekazu, zepchnęło ideę "nowego ładu" na margines publicznego zainteresowania.

Uściślając jej treść i ujmując ją w punkty, bushowską ideę można przedstawić jak następuje:

- w stosunkach pomiędzy państwami należy kierować się *prawem międzynarodowym*, a sporne problemy rozwiązywać *środkami pokojowymi*;
- siły demokracji będą *solidarnie* występować przeciw agresji, również *zbrojnie* w razie potrzeby;
- arsenały wojenne państw powinny ulegać *redukcji* i być poddane skutecznej *kontroli*;
- należy umocnić *system Narodów Zjednoczonych*;
- wszystkie narody podlegają *jednakowo* sprawiedliwemu i *równemu* traktowaniu.

Powyższe zasady, w związku z bezprecedensowym wówczas rozwojem sytuacji w świecie, wnosiły niewątpliwie szereg nowych elementów *zarówno* do budowy ewentualnego "nowego ładu światowego", jak też do już istniejącego *faktycznie* "Pax Americana". Jego bowiem *hegemonistyczny* charakter wymagał, w sytuacji przechodzenia obu supermocarstw od konfronta-



cji do *partnerskich* stosunków, rewizji w kierunku *pluralistycznym*, co z kolei wymagało większego sprecyzowania prezentowanych idei i głębszych przemyśleń odnośnie dróg wprowadzania ich w życie.

Niezwykle szybki i bardzo złożony bieg wydarzeń w świecie nie pozwalał jednak na głębsze analizy.

Wymieniając dla przykładu tylko te ważniejsze, ich lista obejmowała:

- przechodzenie przez USA i ZSRR do nowego etapu negocjacji rozbrowojonych, od ograniczenia zbrojeń strategicznych, SALT, do ich redukcji, START;

- wydarzenia w Europie Środkowej i Wschodniej;

- proces jednoczenia się Niemiec;

- końcowy etap wieloletnich negocjacji w sprawie redukcji zbrojeń konwencjonalnych w Europie, zanim nie doszło do podpisania pomiędzy NATO i Układem Warszawskim w Paryżu, 19 listopada 1990 r., odpowiedniego porozumienia, zwanego CFE;

- przystosowywanie się NATO do nowej sytuacji;

- wydarzenia w Zatoce Perskiej, po tym jak Irak zajął zbrojnie Kuwejt 2 sierpnia 1990 r., co spowodowało gwałtowne napięcie w tym regionie, a następnie wojnę z Irakiem w styczniu-lutym 1991 r., przeprowadzoną z upoważnienia Rady Bezpieczeństwa ONZ przez międzynarodową koalicję pod przewodnictwem USA;

- rozpad Układu Warszawskiego 1 lipca 1991 r.;

- rozpad ZSRR 25 grudnia 1991 r., powstanie WNP, Wspólnoty Niepodległych Państw, z jej zjednoczonymi siłami zbrojnymi, jak też pojawienie się, obok Rosji, dodatkowych trzech mocarstw nuklearnych, a mianowicie Ukrainy, Kazachstanu i Białorusi (ten ostatni problem rozwiązano porozumieniem lizbońskim z 25 maja 1992 r., w myśl którego jedynie Rosja na obszarze b. ZSRR miała pozostać mocarstwem nuklearnym);

- kryzys jugosłowiański, przechodzący w krwawą lokalną wojnę;

- nieustanne napięcie w stosunkach izraelsko-arabskich w związku z trwającą intifadą, pociągającą za sobą liczne ofiary.

Powyższe wydarzenia, liczne i o wielkiej wadze, były czynnikiem niewątpliwie **komplikującym** krystalizowanie się "nowoładowej" idei, jak też dostosowywanie "Pax Americana", jeśli miałyby oficjalnie funkcjonować, do nowych warunków.

Przygotowania do wojny w Zatoce Perskiej i następnie czuwanie nad jej przebiegiem, zaabsorbowały Busha na długie miesiące, nie zostawiając mu czasu na zastanawianie się nad innymi sprawami. Jak dalece było to prawdą, niech posłuży przykład tekstu słowa wstępnego do jego raportu pt. "Strategia

Bezpieczeństwa Narodowego USA", z sierpnia 1991 r. Bush zatytułował swój wstęp "Nowy Ład Światowy", ale już w pierwszym zdaniu wyjaśnił, że "nie jest on faktem, ale jedynie *aspiracją i szansą*", nie wyjaśniając bliżej co miał na myśli, dodając jedynie, że "mamy w zasięgu ręki *możliwość zbudowania nowego międzynarodowego systemu, zgodnego z naszymi wartościami i ideami*", sformułowania dość enigmatyczne.

Kolejne 34 strony raportu, niestety, nie wspominają o "nowym ładzie", a jedynie o "nowej erze", nie wyjaśniając jednocześnie wzajemnego stosunku pomiędzy obu pojęciami. Rzecz jasna, o żadnym "Pax Americana", formalnie nadal nie istniejącym, nie było słowa w raporcie.

Wkrótce potem przyszła prezydencka kampania wyborcza, która całkowicie zaangażowała siły polityczne kraju i o "nowym ładzie" zapomniano, a potem doszła jeszcze niespodziewana klęska Busha w wyborach z listopada 1992 r.

Bushowski "nowy ład" - powtarzając - mógł być, ale nie był III ratą narodzin "Pax Americana".

Najgorsze, że Bush, jeszcze przed wyborczą przegraną, jakby zapomniał o swoim "nowym ładzie", a nikt mu też o nim nie przypominał.

A szkoda. Za prezydentury Busha bowiem, 31 stycznia 1992 r., po raz pierwszy w historii ONZ, odbyło się posiedzenie Rady Bezpieczeństwa na najwyższym szczeblu, z jego udziałem, Borysa Jelcyna, prezydenta nowopowstałej Rosji, francuskiego prezydenta Francois Mitteranda, chińskiego premiera Li Penga oraz brytyjskiego premiera Johna Majora, który posiedzeniu przewodniczył.

"Reanimacja" ONZ, niestety, nie trwała długo. Przegrane wybory prezydenckie Busha były bowiem także *przegraną* ONZ.

Dziś trudno powiedzieć co byłoby dalej z "nowym ładem", a przy tej okazji z istniejącym już kształtem "Pax Americana", gdyby Bush wygrał wybory.

Kamień węgielny tych "nowoładowych" idei bowiem, partnerskie stosunki USA z ZSRR, w sytuacji jego rozpadu, zszedłby niewątpliwie z porządku dziennego. A co wypełniłoby powstałą lukę - nie wiadomo.

Nie wiadomo też jak Bush widziałby przyszłość NATO, produkt "zimnowojenny", którego dalsza racja bytu w obliczu zniknięcia Układu Warszawskiego, stawała się co najmniej dyskusyjna.

Osobnym dylematem był obrzymi arsenał broni nuklearnej b. ZSRR, który przejęła Rosja, gotowa dyskutować, co prawda, jego wzajemną redukcję, ale nawet przy osiągnięciu docelowych limitów broni strategicznych, oddalonych o lata, pozostałyby przecież nadal niezwykle groźne dla ludzkości.

Jak prezydent Bush, gdyby został powtórnie wybrany prezydentem, poradziłby sobie z tymi wyzwaniem - można tylko spekulować. On sam milczy na ten temat, a nikt nie stara się zgadywać, "co by było, gdyby było".

### *E. III rata narodzin (udana).*

Nowy prezydent, William Clinton, nieznan przedtem z zainteresowań sprawami międzynarodowymi, pomimo że w czasie kampanii wyborczej wojowniczo wypowiadał się na temat sytuacji w Bośni, krytykując podejście do niej Busha - do jego "ładu", zgodnie z tradycją, że nowy prezydent z reguły nie kontynuuje rozpoczętego dzieła przez odchodzącego prezydenta, nawet słowem nie nawiązał.

Clinton, co więcej, nie tak jak Bush, który w sprawach międzynarodowych polegał głównie na sobie, od początku powierzał je swoim najbliższym współpracownikom. Percepcja świata zewnętrznego tego grona, ukształtowana pod wpływem Holokaustu, z dopatrywaniem się wszędzie Hitlerów, stała się teraz czynnikiem **decydującym** w tworzeniu nowego typu "aktywizmu" w polityce zagranicznej USA.

Administracja Clintona, przede wszystkim, nawet zanim jeszcze rozpoczęła funkcjonowanie, spowodowała napięcie w swoich stosunkach z ONZ. Bezpośrednim powodem tego było deportowanie przez Izrael ponad 400 Palestyńczyków 17 grudnia 1992 r. na "ziemię niczyją" na granicy z Libanem. Sekretarz Generalny ONZ, Boutros Boutros Ghali, wniósł sprawę na Radę Bezpieczeństwa, która czyn Izraela potępiła. Ustupiąca Administracja Busha *nie skorzystała* z prawa weta, jak naogół USA zawsze to czyniły w sprawach dotyczących Izraela. Nowa Administracja Clintona decyzję poprzedniej nie tylko "odkręciła", ale odtąd już, jak pisze w wydanej w 1999 r. książce-pamiętniku "Unvanquished - A U. S. - U. N Saga" Boutros Boutros Ghali, cały swój gniew obróciła nie tylko przeciwko niemu, zarzucając mu antysemityzm, ale także ONZ jako instytucji. A ponieważ USA od końca lat 1980-tych coraz bardziej zalegały z finansowymi zobowiązaniami wobec tej organizacji, więc sprawa stała się poważna (autor twierdzi, że USA zaczęły torpedować szereg akcji ONZ, w wyniku czego kryzys w Bośni nie został wygaszony w jego początkowym stadium, w Ruandzie został zignorowany, a w Somali niepotrzebnie zagmatwany).

USA, co gorsza, przynajmniej w przypadku Bośni, zaczęły sięgać do NATO, a **nie** do ONZ.

W ten sposób, z bushowskich "nowoładowych" koncepcji, przewidujących **wzmocnienie** roli ONZ w "pozimnowojennym" świecie, nie tylko **nie**

nie wyszło, ale USA zaczęły rolę tą jeszcze pomniejszać.

Nie na tyle jednak, żeby z forum ONZ nie korzystać. Tym bardziej, że Clinton, jak to było w zwyczaju amerykańskich prezydentów, musiał przygotowywać się do wystąpienia inauguracyjnego otwarcie regularnej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ, co uczynił, otwierając nim nowy etap w jego prezydenturze, *etap zagraniczny*, czego owocem były aż dwie doktryny, *rekord* w historii USA.

Doktryną Clintona Nr. 1, a jednocześnie *III ratą* narodzin "Pax Americana", stało się wystąpienie jej autora 27 września 1993 r. na forum 48 Zgromadzenia Ogólnego ONZ.

Przemówienie, pierwsze tego rodzaju w jego karierze prezydenckiej, stwarzało mu szansę zadebiutowania w roli "międzynarodowca", gdyż dotąd miał opinię "krajowca", koncentrującego się na wewnętrznych sprawach państwa.

Przemówienie przygotował Anthony Lake, doradca Clintona do spraw bezpieczeństwa narodowego, który podsunął mu ideę "*poszerzania obszaru demokracji*" w świecie (Enlargement of Democracy).

Clinton przemówienie wygłosił, nie wywierając nim wrażenia, ale środki masowego przekazu - nazwały je Doktryną Clintona.

Doktryna koncentrowała się na *jednej* tylko sprawie, wspomnianym już "*poszerzaniu obszaru demokracji*", nie bardzo wtedy skonkretyzowanym, co było początkowo powodem jej słabego echa.

"*Poszerzanie*" stało się jednak odtąd "żelaznym tematem" licznych wypowiedzi Clintona i należało oczekiwać, że wcześniej czy później ulegnie ono konkretyzacji. Zwłaszcza, że tuż przed ogłoszeniem doktryny, w czerwcu 1993 r., EWG, dzisiejsza Unia Europejska, dokonała również kroku w *poszerzaniu obszaru demokracji*", decydując się na stworzenie krajom Europy Środkowej i Wschodniej *szans* na przystąpienie do niej na prawach członkowskich.

W tym czasie - należy dodać - na Zachodzie panowała moda na "nowe demokracje", czyli kraje Europy Środkowej i Wschodniej oraz b. ZSRR.

"Nowe demokracje" zresztą (te pierwsze tylko), same gwałtownie dobiły się już do drzwi Unii Europejskiej oraz NATO, tego drugiego w szczególności.

Na ile były to ich szczerze chęci, a na ile polityka Moskwy, jest jak dotąd **niemożliwe** do ustalenia. Należy jedynie przypomnieć, że pierwszy "solidarnościowy" rząd w Polsce, początkowo przysięgający na wierność Układowi Warszawskiemu, raptem *zmienił* stanowisko w wyniku wizyty premiera Tadeusza Mazowieckiego w Moskwie, po tym jak Gorbaczow, w rozmowie z nim na Kremlu w dniu 27 listopada 1989 r., "poradził" mu *zbliżyć* Polskę do NATO...

Po tym incydencie, polityką *wszystkich* następnych rządów polskich stało się energiczne dobijanie się do natowskich drzwi.

USA, które początkowo nie chciały słyszeć tego pukania, ze względu na obawę pogorszenia swoich stosunków z Moskwą, od połowy 1993 r. zaczęły jednak *zmieniać* swoje stanowisko.

Co naprawdę było tego powodem, jest nadal niejasne. Półoficjalnie, za jeden z głównych, podawano chęć *odwrócenia* rosnącej znów uwagi Moskwy, jak za sowieckich czasów, od spraw izraelsko-arabskich. Innym powodem miały być naciski Niemiec, które nie chciały być osamotnioną "wschodnią flanką" NATO.

Nie doszukując się prawdziwych motywów zmiany dotychczasowego stanowiska, USA zaczęły odtąd nadstawiać baczniej ucha na pukanie niektórych "nowych demokracji" do natowskich drzwi.

Niedługo po tym, jak złożoną Jelcynowi propozycję 28 września 1994 r. o przystąpieniu Rosji do NATO zbył on milczeniem, Clinton w swoim przemówieniu z 22 października 1996 r. w Detroit "zaprosił" Polskę, Republikę Czeską oraz Węgry do przystąpienia do NATO (przystępuje się do niego wyłącznie na zaproszenie).

Zaproszenie, po proceduralnych formalnościach, zostało sfinalizowane 12 marca 1999 r. podpisaniem porozumienia o członkostwie w NATO tej trójki krajów.

Rosja, o dziwo, która przedtem odgrażała się, że coś takiego pociągnie za sobą daleko idące konsekwencje, raptem ucichła, zadawalając się podpisaniem specjalnego porozumienia z NATO w dniu 27 maja 1997 r.

Doktryna Clintona Nr. 1, a tym samym *IV rata* narodzin "Pax Americana", który objął, formalnie przynajmniej, nowy obszar w świecie, doczekała się pomyślnego finału.

#### F. *IV rata* narodzin.

Kolejna, *IV rata*, wiąże się ściśle z Doktryną Clintona Nr. 2, która została ogłoszona przez jej autora 20 czerwca 1999 r., zdawkowo i w sposób *improwizowany* w formie odpowiedzi na pytanie korespondenta CNN w czasie pośpiesznie zaaranżowanej konferencji prasowej. Następnie jej główne tezy zostały powtórzone przez prezydenta Clintona 22 czerwca na wiecu w Lublanie, stolicy Słowenii, jak też na jego spotkaniach z wojskami amerykańskimi w Macedonii i we Włoszech oraz jeszcze raz na konferencji prasowej 25 czerwca w Waszyngtonie.

Doktryna zrodziła się w rezultacie niemal 79-dniowej natowsko-jugo-

słowiańskiej wojny, której cele, dopiero po jej zakończeniu, w ciągu niecałego tygodnia, w formie okazyjnych wypowiedzi, nigdy z przygotowanego tekstu, zostały mniej lub więcej jasno sformułowane.

W swoich głównych zarysach, Doktryna Nr. 2, rzecz znamienne, była już *wcześniej* rozgłaszana przez jego najbliższych współpracowników, nie mówiąc już o decyzjach jubileuszowego szczytu NATO z 23-25 kwietnia 1999 r., który, zatwierdzając nową "koncepcję strategiczną" Sojuszu, wyłożył ją niemal w całej rozciągłości.

Nie wchodząc w szczegóły Doktryny, którą nawet przyjazny Clintonowi i zwykle najlepiej poinformowany w sprawach międzynarodowych dziennik Washington Post w artykule redakcyjnym z 23 września 1999 r. nazwał "*nie dokończoną*", jej główną tezę, przedstawioną przez autora na wspomnianej już przypadkowej konferencji prasowej z dnia 20 czerwca 1999 r., jest następujące stwierdzenie:

- "*W sytuacji wielu etnicznych i religijnych konfliktów w świecie... czy to wewnątrz granic kraju czy poza nimi, jeśli wspólnota światowa ma możliwość uczynienia tego, powinna położyć kres ludobójstwu i etnicznej czyszczeniu...*" (podkreślenie moje; Z.R.).

Niemal to samo prezydent Clinton powtórzył w dwa dni później w Macedonii, dodając jednakże, że kres takim zbrodniom będzie położony **tylko** pod warunkiem, iż będzie to "*w ramach naszych możliwości*".

Wspomniane uwarunkowania mają **zasadnicze** znaczenie.

Co bowiem oznacza określenie "*wspólnota światowa*"? ONZ, NATO czy jeszcze coś innego? Jeśli prezydent Clinton miał na myśli ONZ, to atak lotniczo-rakietowy NATO z 24 marca 1999 r. na Jugosławię, jak to wspomniano już w innym miejscu, był nie tylko pogwałceniem Karty Narodów Zjednoczonych, ale również Rezolucji Nr. 1199 Rady Bezpieczeństwa ONZ, a więc aktów uchwalonych przez "*wspólnotę światową*", w tym USA, które głosowały *za* rezolucją.

O ile Doktryna czyni wrażenie *nieprzemyślanej* do końca, to sprawą bardziej zasadniczej natury są jeszcze dwa inne jej aspekty.

Pierwszym jest jej **załamanie się** w przypadku Wschodniego Timoru, gdzie USA wykazały *minimalne* zainteresowanie masowym gwałceniem praw człowieka przez władze indonezyjskie, o wiele większym w swojej skali i brutalniejszym w formie od tego, które zarzucano władzom serbskim.

Drugim aspektem, bardziej kłopotliwym w swojej treści, który ujawnił się przy tej okazji, jest **niejasność** interpretacji Doktryny oraz *кто* naprawdę jest jej autorem?

Głównym jej interpretatorem bowiem, jak to okazało się na konferencji



prasowej w Białym Domu 8 września 1999 r., jest **nie** prezydent Clinton, jej autor, a Samuel "Sandy" Berger, jego doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego. Kryteria interwencji przez "wspólnotę światową" w sprawy państw gwałcących "prawa człowieka", wyłożone przez autora Doktryny, zostały radykalnie **zmienione** przez Bergera. "Każda z takich sytuacji - uzasadniająca możliwość interwencji - jest różna" - dowodził Berger. "To, że bombardowaliśmy w Kosowo nie oznacza jeszcze - kontynuował - że powinniśmy bombardować Dili" (stolicę Wschodniego Timoru). "W Kosowo mieliśmy sytuację w sercu Europy, na progu NATO, gdzie imperatywem były względy nie tylko natury humanitarnej, ale także inne, o poważnych konsekwencjach strategicznych i bezpieczeństwa. Myślę, że sytuacja w Indonezji jest poważna i nie możemy jej ignorować, ale nie ma na nią żadnego z lekarstw, które jest właściwe".

Tego rodzaju interpretacja Doktryny, z wieloznacznymi sformułowaniami, radykalnie **zmienia** Doktrynę. Jej **wybiórcza** natura, w przypadku tak szlachetnych celów jak obrona "praw człowieka", stawia ją w podejrzanym świetle co do *prawdziwych* jej intencji.

Prezydent Clinton, występując 21 września 1999 r. na sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ, interpretację Bergera nie tylko potwierdził, ale jeszcze wyraźnie dodał, że "nasza odpowiedź (na gwałcenie "praw człowieka"; Z.R.) **nie może i nie powinna być** (wszędzie) taka sama". "Wiem - kontynuował dalej prezydent Clinton - że niektórzy są zakłopotani, że Stany Zjednoczone i inni (kraje?) nie mogą odpowiadać na każdą humanitarną katastrofę w świecie. Nie możemy robić wszystkiego i wszędzie..."

A więc to tak? "Prawa człowieka" zależą od "miejsca i czasu", jak by to powiedział Marks? Mają być też *różnie* bronione w zależności o kogo chodzi?

Jest to tym bardziej kłopotliwe, że w chwili wygłaszania przemówienia przez prezydenta Clintona, masowe naruszanie "praw człowieka" we Wschodnim Timorze już od wielu dni było czołowym tematem dnia. ONZ, ze względu na brak środków, między innymi i dlatego, że USA są mu winne 1,6 mld. dol. nie zapłaconych powinności, nie mógł długo nic zdziałać dla zapobieżenia tragedii.

A tak na marginesie, to Wschodni Timor, który uzyskał niepodległość 28 listopada 1975 r., wraz z załamaniem się portugalskiego kolonializmu został najechany przez wojska indonezyjskie, przy *nie tylko* milczącym poparciu USA, już w 9 dni później, poddając ten mały kraik brutalnej okupacji, graniczącej z ludobójstwem.

Stosowanie więc "różnych miarek" przez Doktrynę, która w historii USA

jest **ważniejszą** od dotychczasowych, ze względu na gotowość *naruszania* suwerenności innych państw w obronie "praw człowieka", powód zawsze *główny* współczesnych wojen, jest zwiastunem *chaosu* w polityce zagranicznej kraju, a tym samym w świecie.

Obie Doktryny Clintona, zwłaszcza Nr. 2, obwieściły ostatecznie **koniec** procesu narodzin "Pax Americana".

#### F. Co naprawdę przyszło na świat?

Czym jest w rzeczywistości nowonarodzony "Pax Americana", albo narodzony już od lat, a obecnie jedynie wchodzący w wiek dojrzały - jest **nie** możliwe do jednoznacznej odpowiedzi.

Trudność z odpowiedzią wynika stąd, że jego narodzin nie tylko nie podano do publicznej wiadomości, choć akt ten jest więcej niż oczywisty, ale jeszcze nie wiadomo *jak* będzie działał on w praktyce.

Nie bez znaczenia jest także co innego.

Niewiele przecież brakowało, żeby "Pax Americana", gdyby Bush swoją prezydenturę sprawował przez jeszcze cztery kolejne lata, był dziś w jego "nowoładowym" wydaniu, czymś **diametralnie** innym niż w "humanitarnym" Clintona.

I działałoby się to w sytuacji niemal *identycznych* warunków obiektywnych, w jakich narodziłby się "Pax Americana".

Czyżby zatem różnice w *osobowości* Busha i Clintona, jak też w doborze ich najbliższych współpracowników, zdecydowały o radykalnie *odmiennych* od siebie wydaniach "Pax Americana"?

Najprawdopodobniej tak właśnie byłoby, ale w takim przypadku, podobnie jak to było z jego poprzednikami, "Pax Americana" ma w perspektywie **krótki** żywot.

Nie jest wreszcie wykluczone, że nowa Administracja, republikańska, zwłaszcza z solidną większością w Kongresie, osłabi dotychczasowy "aktywizm" w polityce zagranicznej kraju, powróci w znacznym stopniu do izolacjonizmu, a tym samym **zarzuci** myśl o tworzeniu jakiegokolwiek "Pax Americana".

USA, które stanowią nieco ponad 4 procent ludności świata, z perspektywą na zmniejszanie się tego udziału, nawet przy 1/5-1/4 jego globalnej produkcji, są **za małe** dla wzięcia takiego ciężaru na swoje barki.

Nie należy też zapominać, o czym doskonale wiedzą koła kierownicze kraju, że USA, aczkolwiek kolosalne mocarstwo wojskowe, są faktycznie **bezbronne** w obliczu rosyjskiego, a może wkrótce także chińskiego napadu

nuklearnego, który w ciągu 30-40 minut *zmiacie* je z powierzchni ziemi. I mała stąd pociecha, że również napastnik zostanie zmieciony.

Siła zatem, choćby największa, ma swoje granice, których nie sposób przekroczyć. Historia zresztą uczy, że jeszcze **nie było** takiej religii, ideologii, imperium, czy państwa narodowego, które zdobyłoby na trwałe niepodzielne panowanie nad światem.

“Pax Americana”, uznany za oficjalnie narodzony czy nie, też **nie będzie** wyjątkiem.

“Pax Americana”, jeśli taki jest *Wyrok Dziejów*, niech nawet istnieje, ale, jak to nauczał John Quincy Adams, XIX-wieczny prezydent USA, co przypomniał w wywiadzie dla The New York Review of Books 12 sierpnia 1999 r., nestor amerykańskiej dyplomacji i politologii, 95-letni George Kennan, niech to dzieje się, za sprawą **“siły przykładu, a nie nauczania innych”**.

“Nauczanie”, jeśli jeszcze przybiera formę brutalnej siły, jak to było w wojnie NATO z Jugosławią, w której po stronie Sojuszu USA prowadziły 85 procent wszystkich operacji bojowych, a w niektórych przypadkach udział ten wyniósł 100 procent, jest już zupełnie *niedopuszczalne*, zwłaszcza że **nie** nie rozwiązujące ani w krótkim ani w długim okresie czasu.

Ludzkość, zakładając możliwość sprostania wyzwaniom współczesności, rzecz wcale nie taka oczywista, podobnie jak to bywało w przeszłości, może to czynić **tylko** zgodnym wysiłkiem, tworząc “Pax Humana”, “Ogólnoludzki pokój-ład”, a nie jego regionalne wydania. Niektóre narody, jak amerykański, mogą i powinny mieć *większy* udział od innych w tych wspólnych rozwiązaniach, ale **nigdy** jedyny, a co gorsza - wymuszany siłą.

“Pax Romana”, choć też nie był wszechmocny, nie mogąc rozciągnąć się na ~~na~~ germańskie ziemie, był jednak wolny od groźby zewnętrznej, która dopiero po setkach lat od jego powstania mogła być dla niego wyzwaniem. “Pax Mongolica” był też nie do pokonania przez dziesiątki lat, podobnie jak “Pax Britannica”.

“Pax Americana”, choć potężniejszy od tamtych, w skrajnie niekorzystnej sytuacji, może **nie przetrwać** nawet godziny...

*Zbrojny świat* jest faktem, a biorąc pod uwagę bronie, jakimi rozporządza, jest **również** *groźnym światem*.

Dlatego też tak ważne jest *czym* naprawdę będzie “Pax Americana”, zakładając jego **oficjalne** narodziny, ciągle nie ogłoszone. Jeśli ma nim być ten w wydaniu Doktryny Clintona Nr. 2, to *groźny świat* będzie **w dwójnasób** groźnym.

## Rozdział V:

### Groźny świat

#### 1. Anachronizm wojen.

##### *A. Ciągłe na krawędzi przepaści...*

Ludzkość, choć “zimna wojna” jest już niby przeszłością, żyje  **nadal** w *groźnym* świecie. Groźnym jest dlatego, że jest *zbrojnym* światem, a jako *zbrojny* pogrążony jest w **nieustannych** wojnach. Istne błędne koło.

W I rozdziale wymieniono niektóre z wojen końca XX stulecia, ale w ciągu tylko *jednego* miesiąca od sporządzenia ich listy doszły nowe: we Wschodnim Timorze i w Czeczenii. Zanim książka trafi do rąk Czytelnika niektóre z wojen mogą ~~one~~ wygasnąć, rozpalic się jeszcze bardziej, albo dojdą do nich jeszcze jakieś nowe.

Broni w świecie, z bronią masowej zagłady włącznie, zamiast ubywać - przybywa, a więc bić się jest czym. A nawet jeśli gdzieś jej ubywa, to podlegając nieprzerwanemu unowocześnianiu, ubytek ten wyrównywany jest z nawiązką. Dawniej, ze względu na małą precyzję rażenia oddalonych celów, zwłaszcza tych o tysiące kilometrów, głowica nuklearna musiała mieć większą moc wybuchową, żeby nawet eksplodując daleko od “miejsca przeznaczenia” mogła go zniszczyć. Dziś głowica trafia *precyzyjnie* w cel (z dokładnością do 15 m na dystans ok. 10 tys. km, co w przypadku ładunku nuklearnego równa się “strzałowi w dziesiątkę”). Mniejszy ładunek osiąga więc w efekcie *większą* siłę niszczenia, a ponieważ jest on także bardziej śmiertelny, ze względu na wzmożone promieniowanie, zatem pozornie zmniejszony arsenał nuklearny niektórych krajów jest *większy* w końcowym rachunku.

USA i Rosja ponadto, ostatnio *zwiększają* swoje wydatki na obronę (Rosja, na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa w dniu 5 października 1999 r., po-